Nr. 1. Lwów, dnia 1. Stycznia 1892. Rok XV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs. 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

NA NOWY ROK.

Piętnasty rok swego istnienia rozpoczyna „Łowiec“. Znaczna przestrzeń czasu leży po za nim, a widnieje w niej niejedna praca, mająca na oku podniesienie łowiectwa, niejedno wspomnienie, które szpalty „Łowca“ wiąże z wypadkami i ludźmi, stanowiącymi piękną drużynę łowiecką naszego kraju.

Umysły poważne, patrzące się głębiej w życie naszego społeczeństwa, nie gardziły gorącem zajmowaniem się sprawami łowieckimi, bo upatrywały w nich i upatrują nietylko podniesienie gałęzi bogactwa narodowego, lecz co więcej, podtrzymywanie jednej z zabaw ziemianina polskiego, która, jeśli tylko w miarę zażyta, tak bardzo krzepi jego dzielność i energię w pokonywaniu trudności, ten prawdziwie rycerski animusz obok zamiłowania przyrody i życia wiejskiego.

To też w kolumnach „Łowca“ spotkać się można z głośnymi w narodzie i nauce nazwiskami i nie ma się co wstydzić pismo nasze tych zasad i poglądów, którymi w ciągu lat czternastu wpływ swój na sprawy łowieckie wywierało.

Lecz z biegiem czasu utrzymują się zasady i kierunki, a mijają ludzie. Na coraz inne barki przechodzi obowiązek działania i na nowo podnosić trzeba ducha i zagrzewać do pracy.

Jakoż i „Łowiec“ z zadaniami swymi odnosi się do coraz młodszego pokolenia, apeluje do coraz młodszych sił, aby go w działaniu tem wspierały. A tu powinien być postęp i spotęgowanie sił, tak jak jest postęp i spotęgowanie sil w zastosowaniu broni łowieckiej. Stara gwardya łowiecka stworzyła i podtrzymywała „Łowca“ takim, jakim był; dziś, od młodszej drużyny myśliwskiej słusznie się spodziewać należy, że się tej moralnej broni myśliwstwa polskiego rozwinąć i udoskonalić pomoże.

A więc naprzód z Nowym Rokiem! Róg się odezwał i komenda brzmi: Spieszcie ramię do ramienia w obronie spraw łowieckich! Utrzymujcie ciągłe czucie z „Łowcem“, z tym wiernym przyjacielem domów, rodzin i łowów waszych, wspierajcie go radą i czynem, jak na wiernych towarzyszy broni przystało!

I niech Bóg z tym Nowym Rokiem błogosławi dzielnej naszej drużynie łowieckiej, jej zacnym zamiarom, jej męskim czynom i nadziejom przyszłości.

Z ŁOWIECKIEJ PRZESZŁOŚCI

napisał

Władysław Spausta.

Wstęp.

Ludzkość w swym cywilizacyjnym pochodzie, stosując coraz nowsze środki działania do swego celu, w szybkim tempie znaczy swe ślady na powierzchni ziemi, podczas gdy przyroda, po za wpływem człowieka, w prastarej historyi ludzkości, ledwie dostrzegalne okazuje zmiany. Setki wieków historyi ludzkiej, to tak krótkie w dziejach naszego globu chwile, iż w olbrzymiej tej pracowni, gdzie wszystko jedno z drugiego w prawidłowym rozwoju powstaje, nie można tak łatwo dostrzedz zmian rzeczowych, nie można i wedle najdawniejszych podań sprawdzić wielkich różnic. Dopiero nowsza nauka o dziejach naszej ziemi dostarczyła nam dowodów, iż maszyna całej przyrody jest także w niepojętym dla nas ruchu, o którym żadnego wyobrażenia w cyfrach wyrobić sobie nie możemy, i przeprowadza również ciągłe zmiany na powierzchni naszego globu.

Kreśląc tutaj historyę niektórych zwierząt łownych, które bądź zupełnie już zaginęły na powierzchni naszej dawnej wielkiej ojczyzny, bądź są na etacie wymarcia, starać się będę przy każdem zwierzęciu poszczególnie wyłuszczyć domniemane przyczyny jego zaguby, przyczyny, jakie zaszły ze strony człowieka i stosunków jego cywilizacyi, przedtem jednak wspomnę pokrótce o powolnym lecz potężnym wpływie ogólnych sił przyrody, sił działających bezustannie na ukształtowanie życia organicznego na ziemi.

Najważniejszym prawdopodobnie czynnikiem zmian w naszej faunie jest peryodyczna zmiana klimatu, powodowana wpływem zewnętrznym przestworu świata, w którym, wraz z całym naszym systemem planetarnym, ciągłą, wiekuistą podróż odbywamy. Nie miejsce w piśmie łowieckiem zastanawiać się dłużej nad historyą odległych epok naszej ziemi, tłómaczącą pojawianie się tych tworów, które w pokładach geologicznych napotykamy; nie chcę przytaczać cyfrowych kombinacyj co do trwania pojedynczych epok, które chyba tyle mają doniosłości, iż zaspakajają chwilowo próżną ciekawość — nie chcę w ogóle spoglądać w ową straszną przepaść, jaką wyobraźni pierwszy lepszy przekrój kawałeczka skorupy ziemskiej otwiera, bo ćmi się tu w oczach purpurowa głębia i wciąga w swą dal, a zamęt umysł ogarnia... Zdaje nam się wówczas, że stoimy nad brzegiem przepaści, olśnieni rażącymi oczy błyskami odwiecznej prawdy, gdzieś na progu wieczności, która dla nas po koniec wszech rzeczy pozostanie świętą zagadką jak duch wiekuisty, który w tych dziełach się zaznaczył.

Króciutki moment z historyi naszego globu, ów okres czasu, który nas dzieli od ostatniej epoki lodowej, a który dla pigmejskiej naszej miary już jest zupełnie zamierzchłą przeszłością — oto mały ułomek wieków, który koniecznie jak najdokładniej chce zmierzyć obecne Ikara plemię, przepowiadając już dziś z proroczą pewnością (Falb) powrót epoki lodowej w około 6400 lat naszej ery. Nie przeszkadza to jednak innym tworzyć inne horoskopy, i bądź przybliżać bądź oddalać o kilkanaście tysięcy lat ową piękną dla ludzkości przyszłość. Wobec tego są i tacy, co koniecznie z celówką w ręku szukają na ziemi miary, którąby ciekawy ów termin obliczyć mogli, i uczepiwszy się wodospadu Niagary, z posuwania się w tył tegoż, niemniej z długości już wyżłobionego koryta, dochodzą do pewnika, że od epoki lodowej 35000 lat pracują wody rzeki św. Wawrzyńca nad wyżłobieniem owego koryta. Nie przeszkadza to znów innym z całą pewnością okres ten, na tych samych podstawach, na 12000 lat obliczać itd. Owe tysiące lat nie robią tu zatem żadnych skrupułów; kawałek odmiennej skały, znaleziony w łożysku, które w inny sposób wody wypłukują, zmienia zupełnie kombinacyę, tysiące lat latają jak swawolne ptaszki i usiadają na byle jakiej gałązce, lub lecą gubiąc się w mglistej oddali.

Prawdziwa nauka, opierająca się tylko na pewnych danych, a nie tworząca z okruchów fałszywych wniosków co do całości, nie bardzo ciekawe może tu dać wyjaśnienia. „Bardzo długą jest ta epoka“ odpowie sumienny przyrodnik, a tysiąclecia dziejów ludzkości są tylko niewielką cząstką tego czasokresu.

Co do klimatu, jaki panować mógł w owych czasach przedhistorycznych, to poniekąd już jest rzeczą udowodnioną, iż pomimo, że w epoce tej występywały zwierzęta, które wyobraźnia nasza chce ujrzeć koniecznie w klimacie tropikalnym, podniebie Europy było z początkiem okresu dyluwialnego łagodne, ale nie gorące. Później temperatura coraz bardziej się obniżała, jednak nie do tego stopnia, aby życie organiczne zamrzeć musiało, a niezbyt wielka, bo kilka stopni zniżki wynosząca temperatura przeciętna, wystarczyła do zlodowacenia krajów alpejskich i wielkiej części Europy środkowej. Masy zlodowaciałych opadów nie mogły roztajać w ciągu chłodnego lata, i podobnie jak dziś, na szczytach gór wiecznie zalegają śniegi, tak wówczas wielką część płaszczyzn Europy środkowej pokrywały zlodowaciałe skorupy.

Widocznie glob nasz, pędząc wraz z całym systemem słonecznym po przestworze świata, dostał się wreszcie w jakieś trochę cieplejsze prądy eteru, bo zwolna poczynają ustępować lodowce, tworząc istne potopy, których tradycya istnieje niemal u wszystkich narodów świata, tak jak istnieją legendy o strasznych zimach okresu lodowego. Człowiek, ów faktyczny *diluvii testis*, widząc się wodami zagrożony w swym bycie, przenosi swe lary w dość nieprzyjaźne góry, gdyż tylko ta ostateczność może go uratować od zupełnej zagłady, i tutaj pospołu z chroniącym się zwierzem zakłada swe tymczasowe osady, nim zmienne losu ziemskiego koleje dozwolą mu na dawne powrócić miejsca.

Jednak nie tak to prędko odbywa się zmiana osad całych społeczeństw, nie tak łatwo do miejsca przywiązany człowiek zmienia choćby na lepsze swe dotychczasowe siedziby, z którymi zrósł się w pokoleniach, a tymczasem na dolinach użyźnionych wodami pod ciepłem promieniem słońca przepyszna buja roślinność, i wyrastają niebotyczne lasy, w których najrozmaitszego rodzaju zwierz dziki się gromadzi. Z wyniesionych swych posad widzi to wszystko

człowiek, dostrzega, że zwierz się z jego sąsiedztwa wyniósł, dążąc w owe błogosławione na dolinach ziemie. Podąża więc za nim w wycieczce łowieckiej i zapuszcza się w strony niegdyś przez praojców zamieszkane, jednak o wiele zmienione epizodem, jaki się tu odegrał w dziejowym dramacie ziemi. Wracając z tych wycieczek do swych siedzib, opowiada widziane cuda, a opowieści te, ubarwione fantastycznie, działają jakby iskra elektryczna na całe masy, wszystko spoziera z ufnością w strony wskazane i okrzyk: „Naprzód!“ rozbrzmiewa od posady do posady. Ruszają miliony w owe rajskie ziemie, u stóp łańcucha gór się ścielące, w pochód ruszają całe narody z wyżyn himalajskich, z gór meksykańskich, peruańskich i na gruncie starej, ucieczką w góry uratowanej kultury, osiadają potężne państwa, społeczeństwa, stojące już wysoko na szczeblu cywilizacyi, jakimi je znajduje początek dziejów ludzkości na ziemi.

Ufundowaniem społeczeństw na dołach rozpoczyna się nowy okres, właściwa historya ludzkości, a dziwnym trafem odnoszą się owe początki, niemal u wszystkich narodów, mniej więcej do 4000 lat przed naszą erą.

Szybkim krokiem w ostatnich czasach postępujące badania etnograficzne Azyi środkowej, odkrywają nam dotychczas zupełnie nieznane dzieje, a z łona ziemi wydobyte głazy mówią zanadto wyraźnie o wysokim stopniu kultury, na jakim znajdowały się tam narody już w czwartym tysiącleciu przed naszą erą. A ileż to tysięcy lat upłynąć musiało, zanim dziki mieszkaniec grot i nor ziemnych, pożerający ciała swych równoplemieńców, jak to czynią jeszcze do dziśdnia ludożercy afrykańscy, zdobył sobie dominujące na ziemi stanowisko, zanim wytworzył społeczność, zanim jego umysł wzniósł się do praw etyki, systemów filozofii i uleciał w kraj piękna i sztuki, zostawiając niezatarte tego wszystkiego ślady na ziemi.

Prawdopodobną jest rzeczą, jak to badania flory i fauny zdają się stwierdzać, iż po ustąpieniu lodowców, posiadała Europa znów bardzo łagodny klimat. Bujne lasy pokryły niemal całą środkową Europę, lecz niebawem niezbadane jeszcze dostatecznie przyczyny ogołociły wielką część tych krain z wegetacyi leśnej. Prawdopodobnie wiatry, zasypując od brzegów morskich lasy piaskiem i drobniutkim pyłkiem namułu suchego, stały się przyczyną zniknięcia lasów i pojawienia się w tych miejscach wegetacyi stepowej, skutkiem czego zawitała do Europy z Azyi owa tylko stepom właściwa fauna, której ślady jeszcze w historycznych znajdujemy czasach. Ale z biegiem czasu step znów zaczął porastać lasem, niektóre zwierzęta stepowe przeniosły się na niewielkie obszary pozostałych stepów, inne wyginęły w walce z człowiekiem i ze zwierzem drapieżnym lasów, albo zwolna uległy niesprzyjającym ich przyrodzie warunkom, mała zaś tylko cząstka owej fauny błąkała się w nieswoim żywiole jeszcze do późna w czasach historycznych, aż wreszcze i ta uległa zatracie.

Takimi były stosunki kosmiczne środkowej Europy, kiedy nasz naród poczyna występować na widownię dziejów.

Krótki ten szkic prawdopodobnej przeszłości Europy środkowej poprzedzać musi obrazki naszej zaginionej fauny, gdyż w wielu punktach tłumaczy objawy, jakie na tem polu spotykamy, a których nie można w zupełności przypisać wpływowi człowieka i postępującej kulturze, jakkolwiek człowiek po największej części, zmieniając w swej roli podbojowej zewnętrzną powłokę ziemi, przyczynił się głównie do owych szybkich zmian fauny, nad jakimiby długie wieki niezakłócanej niczem przyrody pracować musiały.

Fauna łowiecka, ów pierwszy przedmiot, ku któremu zwróciła się ludzkość już w swej kolebce, ów niebezpieczny konkurent bytu, w znacznej części musiała być wytępioną, jeżeli człowiek miał zapanować na danym terenie. Stąd w mytach niemal wszystkich narodów znajdujemy podania o strasznych walkach bohaterów z potworami, niepokojącymi posady ich plemienia.

Naród nasz, mieszkający przeważnie wśród puszcz niedostępnych, posiada również podobne podania, i co krok spotykamy fantastyczne legendy o pięknej i bohaterskiej treści łowieckiej. W czasach historycznych zaś przesuwają się niby homeryczni bohaterowie nasi, króle i wielcy książęta, w kożuchach baranich lub kołpakach sobolich z bogatym orszakiem swych drużyn rycerskich, po ciemnych puszczach i niedostępnych kniejach wielkiej naszej ojczyzny. Całe hufce wojenne żywią się łupem łowieckim królów, całe armie służby łowieckiej występują na widownię, krocie psów wyszukują i osadzają grubego zwierza, a stalowa ręka naszych Jagiellonów godzi oszczepem w potwora istnego, owego t u r a polskiego, o którym Hussovianus Mikołaj powiada: „Nic nie było dzikszego nad tury, których wykarmiały polskie knieje“ (w Krakowie 1523, *de bisonte et ejus venatione*). Potwory ważące 20 cetnarów, jak to współcześni powiadają, były uosobieniem dzikości, srogości, siły i bujności, pomimo, że wyrastały pod północnem niebem naszej chłodnej ojczyzny.

Czytając o dawnych łowach królewskich, ich orszakach i zdobyczy łowieckiej, o której tu i owdzie specyalne znajdujemy daty, dopiero rzecz tę w prawdziwem widzimy świetle. To nie była igraszka możnych, to nie zabawa dla zabicia czasu, lecz na wielki zakrój epopea łowiecka, w której brały udział wszystkie poniekąd klasy narodu, każda w swym zakresie, a jeżeli nawet za przesadzone uznamy podania współczesnych, to jeszcze i w przyćmionem świetle dziejów wielkie i potężne ujrzymy obrazy.

Ciemny wajdelota nad brzegami Wilii lub Niemna nucił rycerzom o Witołdowych sławnych łowach pieśni, które jeszcze do dziś dnia się utrzymały, zagrzewał pokolenia do bohaterskich czynów „równie wielkich rycerzy, jak sławnych myśliwych“. Wielkość owych łowów tłumaczą rozmaite przywileje królewskie, zachowujące głowie koronowanej, owemu gospodynowi, jedyne prawo walki i sławę pokonania wielkiego i grubego zwierza puszczy. Prastara legenda z nadwiślańskiej skały, gdzie kiedyś Ptolomeusz kazał szukać starożytnego Carodunum, opowiada o walce z potwornym smokiem, tu właśnie, w tem miejscu, gdzie zakłada swą siedzibę głowa narodu i gdzie się ześrodkowuje potęga i chwała tegoż.

Wielki bohater Litwy marzy o „wilku żelaznym“, zabija ogromnego tura i na tem miejscu stolicę państwa zakłada, a rycerz Trojden, „zajechawszy z przygody w puszczę na łowy, rozkoszną górę nad Biebrą (rzeką) znajduje i miasto Rajgrod zakłada“ (Stryjkowski).

Ówdzie znów Władysław Odonicz w XIII. wieku, polując w puszczy, gdzie dziś miasto Wieluń, zabija ogromnego jelenia, a zarazem spostrzega na niebie baranka z hostyą. Polski ten Hubert zakłada w tem miejscu miasto, mające w swym herbie baranka z hostyą, a w rynku kamienicę z wizerunkiem jelenia, w miejscu, gdzie go zabito. (Podanie ludu. Baliński Star. Polska).

Lirnik ukraiński spiewa o Oldze świętej, prostej włościance z Pskowa, a później połowicy Igora Kijowskiego, która w młodości swej bojowaniem i polowaniem się zaj-

mowała, jakoteż „łowiszcza i pohosty“ w puszczach pozakładała (Nestor).

W górach Świętokrzyskich ciągle trwają pod ziemią łowy; umarli bohaterowie ze swym dzielnym orszakiem mgliste jakieś ścigają zwierzęta. To istna polska Walhala łowiecka. Z pod skorupy ziemi dochodzą ucha hejnały rogów, szelest skrzydeł sokolich, rżenie koni, psów granie, lecz kiedyś, gdy na zegarze świata stosowna wybije godzina, otworzą się te podziemia, a ze szczelin skalnych wyjdą na jaw owi rycerze, zmartwychwstaną do nowych zapasów na ziemi i ukażą światu swe oszczepy i groźne miedziane oblicza.

Wiele jeszcze innych pięknych mógłbym tu przytoczyć podań ludowych, noszących na sobie, obok naiwnej prostoty, cechę prawdziwych rapsodów łowieckich, a wskazujących, jak głęboko tkwił w całym narodzie ów łowiecki zapał, jak ściśle zrósł się był ów zwierz puszczy z życiem narodu, gdy poza poważnem tłem podań legendowych, krotochwilne gadki treści myśliwskiej mile były słuchane przez całe pokolenia. Niedźwiedź przemawiał ludzkim językiem — wilkowi wyrastała co roku jedna wątroba, a wył on pięciu głosami w łapę, niby w trąbę — wzrok sarny erotyczne budził uczucia, a w pieleszach dzikich zwierząt, po niedostępnych miejscach, czarodziejskiej mocy kamyki się znajdowały. Bóbr ścigany porzuca myśliwemu „strój“, jakby chciał tym drogocennym darem dać mu odczepne — zdrowie płynie w napoju z rogu żubra, słabe głowy wzmacnia niedźwiedzie sadło, wzbudza pamięć posmarowanie czoła skromem niedźwiedzim. Wpatrywanie się w żołnę wzrok umacnia słaby, a lis dopiero po śmierci staje się prawdziwie pożytecznym, bo podkurzenie nosem jego jest niezawodnym środkiem przeciw poronieniu. I tak wszelkich arkanów na cierpienia ducha i ciała, leków ogólnych i specyalnych, dostarczali owi mieszkańcy kniei, i dostarczają poniekąd jeszcze i dziś swej mocy tym, których wiara uzdrowić może.

Miłość prześladuje naszego mysia, a dla wybranej bohdanki swej znosi on wszystkie najdroższe swe skarby — wprawdzie nie perły i dyamenty — ale kradnie miód z barci, zbiera owoce po lesie, grzyby i wodę przeczystą (prawdopodobnie w pysku); inny znów mysio wykrada nadobną córę szlachcica i trzy lata w gawrze ją utrzymuje, plecie jej piękne koszyki i znosi niedźwiedzie łakocie.

Podczas gdy ogromne knieje i puszcze dóbr stołowych strzeżone były skrupulatnie przez urzędy i liczną służbę, masy ludu, w późne już wieki po przyjęciu nowej wiary, uważały za świętą tajnię ciemnych kniei. Były tam niegdyś mieszkania dawnych bogów, których tradycya żyła między ludem; na wzgórzach, wieńczonych dębami, były tam uroczyska, miejsca święte dla całej krainy, miejsca, których nawet podczas wojny krwią kalać się nie godziło. Tu chodowano w smoczych jamach różne potwory do zgadywania i wyroczni (Helmhold), a 12 dziew jednakowo ubranych i bylicą przepasanych (Kochanowski), dwanaście kapłanek roku w białych szatach, o włosach rozplecionych, rzucały uroki miłości (Efimeńko, Zbiornik małoruski), i prorokowały z wody. Tu jeszcze sądy odbywał Bolesław Śmiały, w miejscach, jak mówi Długosz, *quae silvae et undas habent proximas.*

Długie zatem wieki obawiał się lud w jakikolwiek sposób znieważyć owe mieszkania dobrego bóstwa, a podczas gdy pamięć o nim wpajała szacunek dla kniei i wszystkiego, co w jej ziemi się kryło, przestrach budziły czarty, duchy złe, ukrywające się wśród oparzelisk niedostępnych, wśród oczeretów i w wodach leśnych. Wielogłowe smoki strzegły tych przybytków, skrzydlate gryfy cichym i podstępnym godziły na człowieka lotem, a obłęd chwytał nieszczęśliwego śmiertelnika, który się zagnał w te strony. Tu się mścił strasznie objatą lub żertwą nieprzejednany Czernybóg, mściła się podczas raduńca (pora kwitnienia róż), Rusałka, a grzeszne jej dziecko, Miawka, wabiła rzewnym płaczem w coraz to straszniejsze ustronia. Po lasach błądzą wilkołaki, a Boruta przedrzyźnia się szyderczym śmiechem i najdziwniejsze myśliwemu wyprawia psoty.

I mógłbym jeszcze wiele pisać o owych dziwach puszcz i kniei, które wytworzyła ciepła krew słowiańska, wyspiewała prostacza wyobraźnia ludu, lecz to co już przytoczyłem wystarcza do przekonania, iż owa fantastyczna wyobraźnia była niepoślednim czynnikiem ochrony fauny leśnej u ludu. i być może, że przyczyniła się do przetrzymania u nas w późne wieki tych gatunków zwierząt, które dawno wyginęły w krajach przez inne plemiona zamieszkałych.

Tak to bajały dawne pokolenia. Długie wieczory skracano opowieściami o dziwach kniei, krotochwilami łowieckimi; przy takich ducha pokarmach marzyli starcy o ubiegłych czasach, zasypiała dziatwa, a fantastyczno-łowieckie dźwięki kołysały pokolenia rycerzy. I zaiste prześliczne to baśnie, raz pełne bohaterskiego zacięcia, to znów tchnące wielkim szacunkiem i uczuciem dla natury, to humorystyczne i naiwne, a przytem pełne serdecznego tętna, jak duch, który je wyspiewał.

Tęskno nam za tem w lodowatej atmosferze naszych czasów, gdy przygniata nas jarzmo wszechwładnej kultury, niwelując wszelką indywidualność do jednego poziomu, gdy zewsząd grzmi walka rozżarta o jutro, — tęskno nam za owem słońcem bez wiatru, za owymi ubiegłymi wieki, w których łowy po za wojną zajmowały wszystek czas nawet najwybitniejszych w narodzie. A gdy

„Ktoś z cudzej niwy zbiera plon bogaty,
Ja z twych ogrodów przynoszę ci kwiaty.
Miło, widziałem, przyjmowano żeńce,
Choć z pańskiej roli nieśli Panu wieńce“.

Przyjm zatem, Czytelniku, łaskawie ten skromny wieniec naszej zatraconej fauny, rozpoczynającą się tym zwierzem, któremu pierwszeństwo niezaprzeczenie się należy.

(C. d. n.)

PIERWSZY MÓJ NIEDŹWIEDŹ.

Zostałem zaproszony do Lisowic, w miejsce chorego towarzysza, przez zawsze dla mnie łaskawego, nowo wybranego prezesa Towarzystwa lisowickiego. Pojechałem naturalnie, porzucając prześliczny ciąg słonek w Olejowie i miłe polowanie w Pieniakach, bo czyż można było inaczej zrobić, słysząc, że w Lisowicach bawi niedźwiedź. I łudziłem się nadzieją, że wśród 14-stu myśliwych on mnie jednego wybierze i na mnie wyjdzie. Więc wyjechałem i późnym wieczorem przybyłem do miłego domku myśliwskiego w Lisowicach.

Wszyscy towarzysze już ułożyli się do snu, toż i ja z drżącem sercem poszedłem na spoczynek, aby nazajutrz o pokrzepionych siłach stanąć w szeregu miłej drużyny lisowickiej. Lecz napróżno starałem się zasnąć. Przewracałem się ciągle po pościeli z tą myślą, że ów rzadki zwierz może wyjść jutro na mnie, że go będę mógł choć zobaczyć — i ledwie nad ranem, zmęczony miłymi widzeniami, zasnąłem. Ale nie na długo, bo myśliwska trąbka wezwała nas wkrótce do wstawania. Po małem posileniu się, wnet zajechały fury i ruszyliśmy do miotów Świerczyny, gdzie myś, od kilku dni tropiony, smacznie zajadał kwaśnice i gryzł orzechy.

Przybyliśmy pod miot i na łączce mieliśmy się spotkać z tropicielem. O, jakże długą wydała mi się ta chwila czekania, ta narada łowczego z tropicielem! I każdy z myśliwych jakże pragnął pobiedz dowiedzieć się, czy niedźwiedź jest w miocie, czy go obtropili na pewno, czy wyszedł i czy w ogóle co wiedzą o nim?

Lecz rygor myśliwski w Lisowicach na to nie pozwala; trzeba siedzieć spokojnie na furze i czekać, aż łowczy sam przyjdzie i oznajmi, co się brać będzie i jakie są widoki na ten miot.

Po długiem czekaniu, które wiekiem się nam zdało, usłyszeliśmy nareszcie wcale niemiłą nowinę, że niedźwiedź w tym miocie być może, lecz, że z powodu suchej bardzo pory, nic o nim pewnego się nie wie. Mimo to, znany ze swej przezorności łowczy lisowicki, naznaczył strzał pierwszy tylko do niedźwiedzia. To też posłuszni towarzysze, bez szemrania, jako prawdziwi myśliwi, wyrok ten przyjęli.

Zajęliśmy w milczeniu nasze pierwsze stanowiska. Ja miałem numer ósmy, więc prawie środkowy. Wkrótce odezwała się śpiewna trąbka Michajka, dowódzcy nagonki lisowickiej. Serce mi drży jak nigdy, bo to nie każdemu przypada w udziale brać miot, w którym niedźwiedź znajdować się może. Oglądnąłem me stanowisko — prześliczne, jak każde z lisowickiej kniei — ale to najpiękniejsze ze wszystkich! Stałem nad parowem, zarośniętym młodą świerczyną kilkunastoletnią, podszytą malinami i kruszyną — strumyk szemrzący u mych stóp wypływał na polankę. Z niej widok prześliczny na wyższe mioty lisowickie i cały szereg wierzchołków różnobarwnych, a drzewa w swych prześlicznych barwach jesiennych, to istny obraz dla malarza. Te najżółciejsze kolory, to liście płaczki brzozy; zaraz na tem tle szafranowem, grab jasno-brązowy, obok liście buka żółtobrązowe, a między nie wplata się drżący liść osiki, czerwoną barwą wpadający w oko na wiecznie zielonym dębowym liściu. Za mną na pagórku podniosły las świerkowy, niczem nie podszyty, znane towarzyszom lisowickim „Zamczyska“, ponure i ciemne jak knieja wieczorna.

Tymczasem gon trwa dalej, gon ten odrębny, cichy jak marzenie, gdyż oprócz kucia dzięcioła i szmeru strumyka, nic nie słychać..... I nie dziwota! Wszak to dziatwa lisowicka goni, ci artyści naganiacze, którzy przez gąszcze i nieprzebyte parowy chodzą równo, jak po równem polu; choć jeden naganiacz drugiego nie widzi, zawsze prosto wychodzą, nawet głosem nie potrzebują się oryentować, aby nie zmylili swego kierunku.

Wtem przyspieszonem tępem zagrała trąbka Michajka; to znak, że nagonka ruszyła grubszego zwierza, to alarm dla dziatwy, aby się miała na baczności, aby go nie przypuściła do siebie zbyt blisko. I usłyszałem głos Michajka: „Hołos chłopci!“ — i chórem odezwała się nagonka.

Serce mi zabiło, oczy mgłą zachodzą ze wzruszenia — to niedźwiedź w miocie, pomyślałem sobie. O św. Hubercie, zmiłuj się nademną, pozwól, by niedźwiedź wyszedł, by na mnie wyszedł, by dobrze wyszedł!

Coś w parowie zaszeleściało po suchych liściach, kamyczek się stoczył i chlupnął do wody. Zwróciłem oczy w tę stronę, mając nadzieję, że to myś oczekiwany, lecz z oburzeniem zobaczyłem, że to lis szczęśliwy wynosił się chyłkiem, dziękując niedźwiedziowi, że go od śmierci wybawił.

I znowu cisza. Odgłos chłopców znikł gdzieś w parowach i ledwo ich słychać. Wtem gałąź trzasła i tętent jakby konia w galopie dał się słyszeć... To on na mnie idzie, ten upragniony gość lisowicki, który z gór tu zaszedł na jesienne delikatesy. Tętent ucichł, strzału nie było, widziałem tylko, jak olbrzymia czarna góra przeszła za drugim moim sąsiadem. Po skończonym miocie dowiedziałem się, że to był olbrzym odyniec, który łamał przedemną i wyszedł na drugiego odemnie sąsiada. Ten miał chwilę bardzo nieprzyjemną, lecz to dowodzi, jaka wielka jest karność w lisowickiem gronie, kiedy nawet do dzika olbrzyma się nie strzela, gdy nie wolno.

Nie tracimy jednak nadziei, że niedźwiedź gdzieś w przyległych miotach znajdować się może i bierzemy miot drugi. Tu łowczy, nie mając nic pewnego o niedźwiedziu, pozwala już strzelać do wszystkiego. Niestety — i ten miot zawiódł nasze oczekiwania — niedźwiedzia w nim nie było.

Po skończonym miocie wzięliśmy trzeci, po przeciwnej stronie łączki. Miot ten zwie się „Grabniki na przerąb Bzowskiego“. Jest to rzadka dębina, lichą, przestarzałą leszczyną podszyta.

— Bierzemy miot na słonki — pomyślałem sobie — nie ma mowy, aby w tym miocie grubsza zwierzyna obledz mogła.

Więc znalazłszy się na stanowisku, wyjąłem drugą kulę z lufy i włożyłem śrut dwunastkę w nadziei, że słonka lub jarząbek wyleci. Stanowisko miałem czwarte od łączki, więc nawet nie środkowe, po lewej ręce nieco gąszczyku grabowego, po prawej polana, rzadko dębami zarośnięta.

Gon się zaczął, co chwila słyszałem burkanie jarząbków, więc w górę zwróconą była moja uwaga. Już sąsiad

po lewej zabił lisa, już inne strzały padły wzdłuż linii strzelców, już za chwilę chłopców zobaczę — gdy wtem nagle, po prawej stronie przedemną, coś mi zaczerniało. W nadziei, że to dzik, nastawiłem na ekspresa kurek od trzylufka — a tu pędem lokomotywy, w swych zgrabnych, okrągłych ruchach, kłusem, jakby dziecko raczkowało, zrobił się niedźwiedź na 36 kroków odemnie, na wyż wspomnianej halawie, i siadł za dębem. Ale siadł tak nieszczęśliwie, że mu tylko kudły z krzyża, pysk i koniec uszu widzę. Wtem siadł na zadzie, wspiął się na tylnych łapach do góry, przednie zaś wyciągnął z za drzewa, jakby dla utrzymania się w równowadze. W tej pozycyi zaczął się rozglądać strzygąc uszami, głową zaś zwracał się ku nagonce.

Wszystko to, co opisuję, trwało sekundę, lecz nigdy nie zapomnę widoku tego rozumnego zwierzęcia, z jaką żywością i zgrabnością przykłusował, przysiadł, wstał na tylne łapy, przednie wyciągnął i jak ciekawie rozglądał się, nasłuchując nawoływania nagonki. Dziwię się do dzisiaj, jak mogłem mieć tyle zimnej krwi, że go wtenczas nie strzeliłem, a byłbym go z pewnością chybił, lub licho trafił, gdyż siedział za drzewem. Czułem, że jeżeli zgorączkuję, to wszystko przepadło, bo trudno, aby niedźwiedź drugi raz tak dobrze wyszedł, lub w ogóle wyszedł.

I dobrzem zrobił. Niedźwiedź, przesiedziawszy chwileczkę, ruszył w tem samem tempie, co przyszedł, ku mojemu sąsiadowi po prawej. To też zaraz, gdy się wysunął z za dęba, strzeliłem go, bardzo spokojnie, z ekspresa. Niedźwiedź prawie nie naznaczył, tylko z kłusa przeszedłszy w szalony galop, gwałtownie łapą przednią zarzucił i w tem samem tempie przeszedł linię. Nie strzeliłem go z drugiej lufy, bo się nie godzi śrutem strzelać do tego wzniosłego zwierza. i odstąpiłem strzał na linii memu sąsiadowi po prawej stronie, od którego może już był na linii niedźwiedź bliżej, niż odemnie. Ten jednak, jako wytrawny myśliwy, jeszcze nie strzelił, czekał na mój drugi strzał, aż dopiero, gdy niedźwiedź minął linię, strzelił do niego. Niedźwiedź w tej samej chwili, jak dziecko, które się potyka splątawszy sobie nogi, zataczając się i plątając nogami, usiłował utrzymać równowagę, upadł, wstał, aż nareszcie za trzeciem potknięciem przewrócił się na dobre.

Pierwsze me wrażenie było, że strzeliłem dobrze i spokojnie, gdy jednak zobaczyłem, jak niedźwiedź w strzale sąsiada zrulował, byłem pewny, że go chybiłem, tak dalece, że nawet na mój strzał nie poszedłem, a po miocie do nadchodzącego sąsiada po lewej stronie zawołałem: „Chybiłem niedźwiedzia, a mój sąsiad go zabił“. Ten jednak, jako wytrawny i przezorny myśliwy, nie idzie oglądać zabitego niedźwiedzia, lecz pyta o miejsce gdzie strzeliłem, idzie na nie, gdy mu je wskazałem, i woła mnie wkrótce. O radości! Zobaczyłem zaraz po moim strzale strumień farby, znaczący liście na ziemi i drzewa w dość znacznej wysokości. Nie było wątpienia, że to pierwsza kula moja, bo niedźwiedź farbował najmniej dziesięć kroków przed linią, a mój towarzysz strzelił go dziesięć kroków po drugiej stronie linii.

Z dumą przybiegłem teraz do leżącego niedźwiedzia, który zginął jedynie od mojej kuli, gdyż drugiej, mego sąsiada w nim nie było; na szczęście moje chybił, mając bardzo niewygodny strzał przez kłodę. Trafiłem mysia doskonale w komorę, kula jednak nie ekspandowała, lecz wyszła wyciągając płuca. Pomimo to zdołał ów piękny zwierz pójść jeszcze dwadzieścia kroków i zrulował w chwili strzału mego sąsiada.

Był to niedźwiedź w trzecim roku, o bardzo pięknym czarnym włosie, którego skóra wyprawiona służy jako ulubione miejsce odpoczynku dla faworyta legawca, głowa zaś wypchana zdobi kancelaryę podolską gospodarza.

Tak zabiłem pierwszego w życiu niedźwiedzia i prawdopodobnie ostatniego, gdyż wątpię, abym z tym rzadkim zwierzem mógł się raz jeszcze w życiu spotkać.

Olejów, w listopadzie 1891 roku.

Aleksander Wodzicki.

W wieczór wilijny.

Tajemnicza noc przesilenia zimowego i narodzin Boga żywego zeszła na ziemię i okryła ją płaszczem gwieździstym. W obec rosnących potęg zimy i ciemności, nastąpiło jakieś zespolenie wszystkich sił przyrody, aby nie zostawić śmierci panowania nad ziemią i wydać z siebie światło — życie. Wszystko zrozumiało się, zwierzęta i ludzie, ziarna drzemiące w łonie ziemi i woda szemrząca pod skorupą lodu — ziemia i niebo walczą w głębokiej ciszy nocnej, ażeby się nie dać na śmierć zakołysać.

U nas, w czterech ścianach dworku wiejskiego, było wesoło. Choć zamarznięte szyby iskrzyły się igłami lodu, u nas na kominku buchały snopy wesołego płomienia.

Świeczki na choince zgasły i zamilkły kolędy, nucone cienkimi głosikami dzieci. U stóp choinki gorzała jeszcze w blaskach różowych szopka, a w niej święty Józef, cparty na kiju, Matka-dziewica pochylona nad żłóbkiem, w żłóbku zaś nowonarodzony Chrystus, którego zwierzęta oddechem swym grzeją.

Dopiero co wstaliśmy od wilii i rozrzuceni wygodnie koło kominka w salonie, rozmawialiśmy niemal półgłosem, jak gdyby nie chcąc budzić tajemnic świętej nocy. Tylko z jadalni dochodziły jeszcze wesołe śmiechy i sprzeczki dzieci, rozradowanych otrzymanymi na gwiazdkę darami. Naraz umilkło wszystko, a gospodarz, starzec już, białym włosem okryty, puszczając dym z ulubionej fajeczki i patrząc w płomienie kominka, tak się odezwał:

— Bodaj was kaczki zdeptały! Nie pozwoliliście dziś staremu pójść do kniei, a od lat czterdziestu nie opuszczałem w dniu tym polowania i dopiero przy blasku pierwszej gwiazdy wracałem z dubeltówką do domu.

— Starzyśmy już — rzekła gospodyni — i trzeba się z tem raz pogodzić.

— Dla myśliwego nie ma starości, moja pani! — odparł gospodarz z humorem, prostując się w fotelu jak młodzieniaszek.

— A szkoda, że wujaszek nie był — odezwał się jeden z mężczyzn — bo świetnie się nam polowanie udało.

I o szczegółach polowania rozpoczęła się żywa rozmowa, o celnych strzałach i o pudłach, i o tem, jak odyniec przed całą linią strzelców defilował i dopiero na ostatniem stanowisku padł od strzału artysty — jak nakoniec rzadki w tych stronach, a piękny żbik, uwieńczył całą seryę kozłów, zajęcy i lisów, które się na rozkładzie znalazły.

Artystą był młody, piękny jak Apollo, a głośny już malarz, wychowanek gospodarza. Po raz pierwszy pojawił on się w domu tym na wilii, a brał udział w łowach nietylko z ekspresem, którego umiał zażyć, ale i z ołówkiem, którym po mistrzowsku ciekawe sceny z polowania szkicował.

— Piękna zdobycz! piękna zdobycz! — mruczał gospodarz, słuchając opowiadań — a szczególniej zazdroszczę wam żbika. Jednakże pójdę z wami o zakład, że nikt jeszcze takiej zwierzyny na polowaniu wilijnem nie ułowił, jak ja przed laty piętnastu.

Słowa te wywołały ogólną ciekawość, proszono więc gospodarza, ażeby przygodę swą opowiedział.

. . . .

— Był wówczas dzień taki piękny, jak dzisiaj — rozpoczął gospodarz, ulegając prośbom. — W ośm strzelb ruszyliśmy z sąsiadami do kniei i szło nam wesoło a szczęśliwie. W ostatnim miocie wypadło mi stanąć na samem skrzydle, nad urwiskiem skalistym. Zbliżał się już zmierzch wieczorny. Płatki śniegu, które przez cały dzień z rzadka padały, przestały się unosić w powietrzu. Zachód wypogodził się zupełnie, i po krótkiej, jaskrawej, purpurowej zorzy, nadchodziła ta senna chwila zimowa, gdzie wszystko zdaje się już zamierać.

Modro-popielaty kowalik pełzał to w górę to na dół po korze starego buka, pod którym miałem stanowisko, ćwirkając co chwila, spieszył się, aby jeszcze przed nocą wydobyć ze szczelin kory jaką poczwarkę. Stadko barwnych jemiołuch, z jeneralskimi pióropuszami, przyleciało cichutko, usiadło na chwilę na gałązkach buka, otrząsając z nich śnieg świeżo spadły, i znowu odleciało. I całą przyrodę zaległa wkrótce ta morząca snem cisza zimowego wieczoru, gdy to mróz zaczyna się wzmagać i na ciemno-granatowem niebie występuje jedna gwiazda po drugiej.

Nagonkę słyszałem zrazu, ale jakoś głucho i daleko; głosy jej, zamiast zbliżać się ku mnie, oddalały się coraz bardziej i nikły — widocznie znużeni naganiacze złamali linię i nie wychodzili, jak należy, na strzelców. Padły dwa jakieś dalekie strzały, a potem zaległa głucha, niczem nie zamącona cisza.

Miałem już dubeltówkę zarzucić na ramię i pociągnąć ku towarzyszom, gdy nagle, jakby z pod ziemi, jakby duch a nie zwierz, bez wszelkiego szelestu, wyłonił się wśród krzaków przedemną rogacz olbrzymich rozmiarów. Ani przedtem, ani potem, nie widziałem już takiego rogacza; był jakiś starością siwy, poważny, pełen patryarchalnej godności. Zmierzyłem się, strzeliłem i poprawiłem z drugiej rurki — dym się rozwiał — i znowu nic nie było przedemną.

Zdziwiony, bo nie zwykłem był chybiać, poszedłem na miejsce strzału — i nic, nic — ani farby, ani sierci, lecz zato wyraźny trop sarnich cewek i raciczek niezwykłej wielkości.

Co to być może? Gdzież się podział ten kolos? Duchem nie był, skoro zostawił trop tak potężny. Muszę się z nim jeszcze spotkać.

I nie myśląc o tem, że to co czynię jest bezowocnem, skoro farby nie ma na tropie, puściłem się za tym tropem.

I szedłem, szedłem w ciemniejszą coraz bardziej knieję, aż wreszcie i tropu nie mogłem już dojrzeć. I wtedy trafiło mi się jak w bajce, że gdym oczy podniósł przed siebie, ujrzałem chatkę, z której jaskrawe światło wabiło mnie ku sobie.

Lecz nie była to chatka z bajki. Owszem, znałem ją dobrze, była to chałupa leśnego, który przed kilku tygodniami umarł, zostawiając wdowę i dwunastoletniego chłopaka. Zanim nie nastanie drugi leśny, wolno było wdowie mieszkać w tej chałupie.

Zdziwiony jasnym blaskiem światła, podszedłem mimowoli ku okienku, aby spojrzeć, co się tam dzieje.

Uderzył mnie tu widok szczególny. Na białej ścianie, tuż koło komina, widniała rysowana węglem postać Matki Boskiej. Klęczała ona nad żłóbkiem, w którym leżał Chrystus otoczony aureolą promieni, a głowy wołu i osła schylały się ku niemu, grzejąc swym oddechem. Rysunek cały był dziwnie naiwny, a przecież biło z niego jakieś natchnienie religijne, jakaś prawda, która się i z koszlawych, nieumiejętnych linij wydziera. Postać Matki Bożej była kilku jaskrawymi kolorami nałożona, a obramiały ją dwa żywe świerczaki, u spodu zaś płonęło kilka smolnych kawałków łuczywa, które właśnie taką krwawą łuną biły w okienko. Pod obrazem klęczał sierota po leśnym i nucił kolędę, na ławie zaś przy kominie, na którym syczał dostawiony do ognia garnek, siedziała wdowa i płakała.

Było coś w tej całej scenie, co mnie za serce chwyciło. Pomyślałem o tem, że w tej chwili moje dzieci przygotowują wspaniałe drzewko, czekając na ojca przy suto zastawionym stole — i ten obraz cichego ubóstwa i żywej wiary, przejął mnie do głębi.

Wszedłem do chaty z pozdrowieniem Bożem, ze słowami pociechy, a przyglądnąwszy się chłopcu, rzekłem sobie: „Oto jest najpiękniejsza zdobycz twych łowów dzisiejszych.....“

. . . .

Gdy to gospodarz mówił, szmer rozległ się między kobietami i oczy wszystkich zwróciły się ku artyście, który wzrokiem płomiennym spoglądał na opowiadającego starca i prawie duszą ku niemu się wyrywał.

— Rozumie się — ciągnął dalej gospodarz — że spóźniłem się wówczas na wilię. Żona i dzieci czekały mnie z niepokojem. Sąsiedzi, mniemając, żem wprost ze stanowiska ruszył do dworu, rozjechali się, jak zwykle w dzień wilii, wprost do siebie. Już wysyłano ludzi, aby mnie poszukać, — gdy w tej chwili sam do dworu wróciłem. Skoro usprawiedliwiłem zwłokę i opowiedziałem żonie, co dalej z mą najcelniejszą zdobyczą myśliwską robić zamyślam, zyskałem jej przyzwolenie najszczersze.

Zdawało nam się, iż jest w tem jakaś skazówka Opatrzności, żeśmy w noc tajemniczą, poświęconą rodzącemu się Bogu-dziecięciu, znaleźli także Boże dziecię, wyposażone duchem artysty i że jest naszym obowiązkiem, oddać narodowi w pełni talentu to, co przyroda tej ziemi wśród cieniów dzikiej kniei wydała.

Tajemnicza noc Bożego Narodzenia, ta noc, w której ubodzy pastuszkowie, razem z królami w purpurze, oddają cześć wiecznemu światłu i wiecznej prawdzie — ta noc, w której legenda ludu nawet zwierzętom językiem ludzkim przemawiać dozwala — ta noc braterstwa między ludźmi,

świętego przymierza ziemi i nieba, zlała na nas sama ten obowiązek i dała nam dożyć szczęścia, żeśmy go spełnili. Bo oto chłopię po leśniku, opuściwszy chatę, która wkrótce i śmiercią matki opustoszała, stał się dziś natchnionym artystą i pracuje nad tem, aby tę Ojczyznę czcić dziełami swego geniuszu i przysparzać jej chwały między narodami...“

Gdy słów tych starzec domawiał, rzucił się artysta ku niemu, i twarz swą łzami zroszoną ukrył na jego piersiach i całował ręce jego z przejęciem. A gospodarz odwzajemniał uściski i wydobywszy się z nich wreszcie, zawołał głosem wesołym, wskazując na młodego muz ulubieńca:

— No, panowie myśliwi! i kto się taką zdobyczą łowiecką w dzień wilii poszczyci?

Nikt na to nie odpowiedział, ale prześliczne ciemne oczy kuzynki gospodarstwa, wpatrzone w artystę, jej rumieniec i jej rozchylone usteczka mówiły, że to dziś j e j zdobycz, ułowiona sieciami niewidzialnymi, ale tak silnymi, że wiążą aż do śmierci.....

Ha, niech się spełnia wola Boża i przykazanie wolnego wyboru miłości. I to jest rzecz myśliwska, wyższa nad konwenanse i rachuby związków, które prócz wyrachowania nic w sobie więcej nie mają. *St.*

Ptaszki i owady w parlamencie.

W Izbie posłów wiedeńskiej Rady państwa wypowiedziano wśród ostatnich debat budżetowych mowę, która jest właściwie bardzo ciekawym traktatem przyrodniczym. Deputowany trentyński Salvadori podniósł w niej okoliczności i wynurzył zapatrywania tak oryginalne, a tak sprzeczne z zapatrywaniami, przyjmowanymi powszechnie za niezbitą prawdę w gospodarstwie przyrody — że nawet pismo łowieckie musi zrobić wyłom i zwrócić w tym wypadku uwagę na parlament i polityczną walkę o budżet.

Deputowany Salvadori jest przyrodnikiem, bardziej praktycznym niż książkowym, a w szczególności entomologiem, i tak jak wielu jego ziomków na wybrzeżach Adryatyku, zapalonym ptasznikiem. Łowi on w siecie tysiące tych ptaszków, które pod jesień ku ciepłym krajom spieszą, i w obec narzekań na niszczycielską i nieludzką pracę podobnych ptaszników, na szkodę, jaką tem rolnictwu i leśnictwu wyrządzają, wreszcie w obec żądań, ażeby te hekatomby drobnych ptasząt owadożerczych drogą ustaw ograniczono — czuł się w obowiązku wypowiedzieć obronę, która wpada jak bomba w sam środek komunałów przyrodniczych i wywołuje polemikę, myśliwym w szczególności nie obojętną.

Oto stenogram pomienionej mowy Salvadorego, wypowiedzianej na posiedzeniu Izby posłów wiedeńskiej Rady państwa d. 9. grudnia r. z.

* * *

Gdybym nie miał jak najlepszego wyobrażenia o znacznem wykształceniu i ścisłej przedmiotowości tej Wysokiej Izby, to oszczędziłbym sobie trudu dłuższej przemowy, w której chcę wojnę jednemu z pozornie najbardziej usprawiedliwionych przesądów wypowiedzieć. Jeżeli mi się to uda, jeżeli dzień ten nie będzie dla mnie feralnym, to będę miał to jedynie waszemu dojrzałemu sądowi, moi panowie, i tej czci, którą wszelkiej wiedzy okazujecie, do zawdzięczenia.

Traktujemy dziś sprawę rolnictwa, śmiem więc odrazu rzucić pytanie: Czy drobne ptaszki nasze są istotnie dla rolnictwa pożyteczne i czy zasługują na to, ażeby je ustawodawstwo brało w ochronę?

Co o tej sprawie w innych parlamentach mówiono i uchwalano, nie jest wcale budującem. Ustawa łowiecka np., która obecnie we Włoszech obowiązuje, była w swoim czasie przez posłów tamtejszych wśród ogólnej wesołości zawotowaną, tak, że bystry krytyk mógłby ją całkiem słusznie śmieszną ustawą nazwać. Co zaś jeden z senatorów w francuskim senacie o sprawie tej mówił, jest poprostu trudnem do pojęcia dla każdego, kto choćby tylko najpobieżniej otarł się o ornitologię i entomologię.

A gdybyśmy na pytanie z góry postawione dali ściśle naukową i przedmiotową odpowiedź, nie mianoby zapewne tego za złe tej Wysokiej Izbie, i dlatego wziąłem sobie za zadanie dać ową odpowiedź.

Uczeni badacze natury dzielą się na dwie grupy: jedni czerpią swą wiedzę z książek, drudzy zaś, stanowiący znaczną mniejszość, szukają jej w mozolnem badaniu samejże przyrody. Pierwsi przemawiają z całą stanowczością za ochroną ptaków, drudzy mają w tym względzie znaczne wątpliwości, a jak mniemam, słuszne.

Moi Panowie! W całej naturze wre bezustanna walka; istoty silniejsze, zaopatrzone bronią zaczepną i odporną, biorą w tej walce bardzo żywy udział. Lecz niemniej gwałtownie, a jeszcze skuteczniej, wre niszczycielska walka w świecie najdrobniejszych, ledwie że dostrzegalnych istot. Tutaj spotykamy dwie nieprzeliczone, a wrogie sobie armie owadów, z których jedna krząta się jak najgorliwiej, ażeby ostatni listek roślinności pożreć, druga zaś, ażeby ostatniego nieprzyjacielskiego sobie owada zniszczyć. Szczegółowy opis tej walki byłby tu niemożliwy. Zadowolnimy się więc tem tylko, ażeby korpusy tych armij wymienić.

Każdy książkowy uczony postarał się o swój systematyczny podział materyi. Ja będę się trzymał podziału profesora wiedeńskiej wszechnicy, dr. Szmardy. Wedle tego szanownego uczonego, dzieli się cała armia owadów na 72 korpusów, czyli rodzin, z których 33 dopuszcza się wszystkiego najgorszego w przyrodzie. Obiadają one liście, podgryzają korzenie, zarażają owoce, wiercą w pniach drzew, niszczą zboża — jednem słowem są najzawziętszymi i nienasyconymi wrogami naszych pól i lasów. Tutaj zaliczamy rodziny: *Aphidida*, *Bombycida*, *Curcullionida*, *Phalaenida*, *Hesperida*, *Longicornia*, *Noctuida*, *Pulicida*, *Pyralida*, *Papilionida*, *Saltatoria*, *Tineida*, *Torticina*, *Tenthredinida*, *Xilophada* i 18 innych. Tępić te istoty, znaczy tyle, co ratować nasze pola, sady i ogrody warzywne, jednem słowem nasze najniezbędniejsze środki życia od zniszczenia.

Lecz, niestety, tej potrzebie tępienia nie umiemy czynić zadość. Ażeby naszych współbliźnich masakrować, zrobiliśmy już więcej wynalazków niż potrzeba, aby jednak trzymać w karbach te roje drobnych, a tak niebezpiecznych wrogów — jesteśmy bezsilni. I gdyby wszechmocna dłoń Stwórcy, który i w tem, jak w każdej rzeczy, miarę i ład utrzymuje, nie była nam dała pilnych i wytrwałych współpracowników, to byłaby walka nasza wprost niemożliwą.

Otóż największą część tych pomocników znajdujemy właśnie między owadami. Jeśli bowiem 33 korpusów walczy przeciw nam — to z nami jest jeszcze 20 korpusów takich, które w niezmordowanej swej pracy wiecznie po naszej stoją stronie, i właśnie tym sprzymierzeńcom musimy być wdzięczni, że równowaga w naturze jest utrzymywaną.

Istnieją całe miliardy takich owadów, które tępią inne owady, i których życie zawisło właśnie od śmierci naszych nieprzyjaciół. Dobroczynnymi korpusami, czyli rodzinami, do których one się zaliczają, są *Carabicina*, *Coccinellida*, *Cicindellida*, *Ichneumonida*, *Hemerobida*, *Mantida*, *Muscida* i jeszcze dwanaście innych, które pracują nad tem bezustannie, aby nasze lasy, sady i pola od dokuczliwych szkodników uwalniać.

Z tego dobroczynnego zadania wywiązują się one w dwojaki sposób. Niektóre, jak szczypice, biegają po drzewach lub zapuszczają się w ziemię, ażeby szukać swych nieprzyjaciół i pożerać ich żywcem; inne — a te są najstraszniejsze – składają swe jaja w kałdunach innych owadów, a poczwarki, wylęgłe z tych jajek, stają się ich śmiercią. Otóż te dobroczynne stworzenia, czy to drapieżce, czy pasożyty, działają najskuteczniej celem utrzymania równowagi w naturze, i jeśli jaki ród między roślinożernymi owadami, korzystając z przyjaźnych warunków, bujnie się rozmnaża, pospieszają one — szczególniej pasożyty — w coraz większej potędze, ażeby zachwianą równowagę w naturze przywrócić. Czasem zapuszczają się nawet tak daleko, że wytępiają nieprzyjaciół naszych aż do nogi, a potem giną same z braku pożywienia.

Zwróciwszy uwagę na ubiór i uzbrojenie jednej i drugiej armii owadów, ujrzymy, iż niektore zastępy naszych nieprzyjaciół, ni to rycerze średniowieczni, zaopatrzone są twardymi pancerzami — inne, jak podróżni północy, otulone gęstymi, długowłosymi futrami. Jeszcze inne strzykają niemile cuchnącymi, ostrymi sokami — inne, zupełnie nagie, umieją chronić się głęboko w ziemi — i mało tylko jest takich, którym brak dzielnych narzędzi obrony. Nasi sprzymierzeńcy natomiast, to po największej części zwierzątka małe, miękkie, nagie, nie zdolne prawie bronić się od nieprzyjaciół i mające tylko na roślinożernych kolegów skuteczne środki niszczenia.

Jest to więc dowód wielkiej ignorancyi, jeśli ogólnikowo twierdzimy, że jakaś istota jest tylko dlatego pożyteczna, iż owady pożera.

Z góry winienem zauważyć, że gdyby wojna, wrąca między owadami, tylko przez nie same, bez wszelkiej dalszej pomocy była toczona, wiedzielibyśmy z góry, komu przypadnie zwycięstwo. Owe przez Edwarda Mildego wspomniane lasy amerykańskie, gdzie nie ma ani jednego owada i ani jednego ptaka, pouczają nas, że w takim razie, po krótszem lub dłuższem trwaniu walki, sprzymierzeńcy nasi stają się panami placu. Dam w tej mierze jeszcze bliższe objaśnienia, tu wszakże muszę już zauważyć, że w walce tej biorą także udział płazy, gady, wiele drobnych zwierząt drapieżnych, a przedewszystkiem ptactwo — i tu właśnie dochodzimy do punktu spornego.

Po tysiąc razy słyszeliście już zapewne, moi panowie, to wieczne „ritornello“ uczonych: „Szanujcie ptaki, one są pożyteczne, gdyż pożerają ogromną ilość owadów“. Otóż zachodzi pytanie: jakimi to owadami żywią się najczęściej drobne ptaszęta — gdyż pożyteczność ich zależeć będzie właśnie od tego, z której armii owadów biorą one swe ofiary. Czy napadają przeważnie na niszczycieli naszych pól i lasów?

Niestety! Z całą pewnością i stanowczością muszę na to pytanie odpowiedzieć: „Nie!“

Zaledwo 10% szkodliwych owadów roślinożernych tępią drobne ptaki, podczas gdy 80% owadów pasożytnych staje się przedmiotem ich łowów i niknie w ich żołądkach. Przeważna bowiem część drobnych ptasząt ma dzióby cienkie i za słabe, ażeby kruszyć nimi rogowe pancerze szkodliwych chrząszczów, podważać korę drzew i szukać tam poczwarek szkodników.

Zresztą są to wyłącznie ptaki dzienne, nie mogą więc polować na owady, które się o zmierzchu lub w nocy pojawiają. Nogi ich nie są usposobione do grzebania, nie mogą przeto zapuszczać się i za tymi owadami, które się w głębi ziemi kryją. Nareszcie drobne owadożercze ptaszęta mają zbyt małe gardziołka, i dlatego nie byłyby wstanie połykać gąsienic i owadów, okrytych włosami, łuskami lub kolcami, a posiadają ten instynkt, że nie napadają poczwarek i chrząszczów, wyposażonych ostrymi, gryzącymi sokami obronnymi.

Wynika więc z tego, że rola niszczycielska drobnych ptasząt w obec naszych wrogów jest bardzo nieznaczną, bo brak im odpowiednich narzędzi niszczenia, a pomoc naszych ustaw i czułostkowość niektórych uczonych nic tu, niestety, zmienić nie jest w stanie.

Ale całkiem inaczej przedstawia się działalność drobnych ptasząt w obec owadziej armii, do której nasi przyjaciele należą. Owady te, jak się to już rzekło, są po większej części nagimi, miękkimi, drobnymi zwierzątkami, każde drobne ptaszę może je więc łatwo dzióbkiem chwytać i połykać. A któż z nas, moi panowie, mógłby być tak naiwnym, aby przypuszczał, że ptaszki, nawet gdyby to potrafiły, chciałyby sobie dobrowolnie zadawać ciężki trud łowienia ryjkowców, korników, kózek i hurmaków, lub długowłosych, kolczastych a lepkich gąsienic, jeśli mają podostatkiem much, komarów, kusaków i owadziarek? Tak głupimi nie będą zapewne, podobnie jak i my, gdyby nam przyszło pomiędzy twardem udźcem baranim, a delikatnymi zioberkami cielęcymi wybierać. Skoro więc ptaszki pojawią się w jakiej okolicy, pierwszą ich rzeczą jest to, że nam naszych sprzymierzeńców pożerają. I jaki tego skutek? Bardzo jasny, ten mianowicie, że im więcej ptaszków w pewnej okolicy w ciągu wiosny i lata przebywa, tem więcej będzie tam i roślinożernych owadów. Bo skoro czujni stróże zostaną wymordowani, mogą rabusie gospodarować, jak im się podoba.

Czy życzycie sobie panowie próbki? Nie zapuszczając się zbyt daleko, zostańmy przy Austryi dolnej. Kraj ten koronny jest w ciągu wiosny i lata ptakami przepełniony, a przecież sejm dolno-austryacki uznał za stósowne uchwalić ustawę o niszczeniu gąsienic i nad ścisłem jej przestrzeganiem czuwać. My zaś w Trentynie nie mamy na wiosnę i w lecie ani dziesiątej części tych ptaków, a przecież drzewa nasze owocowe udają się wybornie i dla sadów naszych nie potrzeba wcale ustawy o tępieniu gąsienic, bo u nas owadożerne owady i pasożyty spełniają to zadanie, które tutaj, gdzie pożyteczne owady od ptaków są pożerane, ogro-

dnik spełniać musi. I możecie się panowie stąd przekonać, w jakiej harmonii są ze sobą fakta i wiedza praktyczna.

Jest już temu dwadzieścia lat, jak w kilku broszurach spostrzeżenia moje ogłosiłem i wyjaśniłem — a dotychczas nie zostały moje wyjaśnienia nauką odparte. Śmieszne grubiaństwa rzucali mi nieraz w oczy niemieccy dziennikarze, powtarzali mi bezustanie: „Ależ czytaj pan prace niemieckich przyrodników!“

Usłuchałem wreszcie tej rady i ostatniego lata, chcąc wypocząć po naszych mozolnych pracach parlamentarnych, przeczytałem trzy grube tomy Brehma. Były to III. i IV. tom, zawierające opis ptaków, i tom VI., który traktuje o owadach.

Gdybym chciał zastanawiać się nad metodą, której autor użył w wiekopomnem tem dziele, to pozwoliłbym sobie zauważyć, że metoda przeciwna byłaby właśnie trafną. Wedle mojego mniemania układ przyrody jest taki, że niższe istoty przeznaczone są dla wyższych, a wszystkie razem dla człowieka jako króla przyrody. Aby więc zakres działania jakiejś istoty należycie ocenić, należy przedtem wartość i sposób życia owych drobniejszych istot zbadać, które są przez nią wyzyskiwane. Dlatego najprzód o owadach, a potem o ptakach. U Brehma natomiast spotykamy się z odwrotnym porządkiem i fałszywa ta metoda przyczyniła się głównie do tego, że w żadnem innem dziele nie ma tyle sprzeczności, co w „Życiu zwierząt“ Brehma.

Muszę tu jednak uroczyste złożyć zeznanie, że wszystko to, co w VI-ym tomie Brehma powiedziano o owadach, jest całkiem prawdziwem i pełnem zasługi oddaniem tego, co się istotnie w naturze dzieje. Tom VI-ty — który wprawdzie nie przez Brehma lecz przez Taschenberga jest napisany — to zaiste złota książka, na którą w zupełności się godzę. Taschenberg i moja maluczka osoba ujrzeliśmy to samo w przyrodzie i opisaliśmy też to samo — Taschenberg w szerokich ramach, ja pokrótce — lecz istota rzeczy jest ta sama. Czytając ową książkę, byłem szczęśliwy, żem sobie mógł powiedzieć: oko twe nie łudziło cię, rzecz się ma istotnie tak, jak ją widziałeś i opisałeś. Dlatego do *Nowej Pressy*, do *Deutsche Zeitung* i do wszystkich tych, co mnie besztali, wołam: „Czytajcie, czytajcie, moi panowie, to, co Taschenberg widział i opisał i nauczcie się raz, czem są owady!“

Czysta to prawda, moi panowie, gdy on o siercinkach tak się odzywa: „Obok owadziarek należy siercinka do najlepszych stróżów, czuwających nad równowagą w świecie owadów“.

Czysta to prawda, gdy na str. 156 tak o rodzinie biedronkowatych pisze: „Biedronki, odznaczające się namiętnością w tępieniu mszyc, należałoby powszechnie hodować, gdyż tępiąc owe uprzykrzone szkodniki, oddają one wielką usługę roślinności“. Jeszcze ważniejszą prawdą jest to, co Taschenberg na str. 159 o błonkoskrzydłych podaje: „Znaczna liczba poczwarek tej rodziny prowadzi żywot pasożytny w ciałach innych owadów, skutkiem czego należące do nich owadziarki i gąsieniczniki ważną odgrywają rolę w gospodarstwie natury. Ustanowiono je strażnikami równowagi w przyrodzie, przez to bowiem, że każda z nich utrzymuje swe życie przez zniszczenie innego, przedewszystkiem roślinożernego owadu, ograniczonem jest rozmnażanie się tych ostatnich. Jeśli tylko szkodliwe owady roślinożerne wskutek współdziałania rozmaitych przyjaźnych okoliczności, zanadto się rozmnożą, zaraz pojawiają się owadziarki i doprowadzają ich liczbę do zwyczajnych granic, zyskując w ich ciałach warunki żywszej rozmnoży dla siebie“.

Czysta to prawda, jeśli Taschenberg na str. 274 o kłowaczu *(Pimpla)* tak opowiada: „Samiczka składa swe jajka we wielu rozmaitych gąsienicach, a szczególniej w gąsienicach prządek. Mnóstwo najgorszych szkodników leśnych jak mniszka, pierściennica, barczatka są jej miłe, dlatego też widzimy ją tam wszędzie“.

Nakoniec i to jest prawdą, co mówi Taschenberg na str. 407, o muszce pasożytnej, rączycy *(Tachina)*: „Tachiny należą niewątpliwie do najpożyteczniejszych między muchami, do tych małych a pewnych strażników, które przyroda wydała, aby zapobiegały mąceniu równowagi w skomplikowanem jej gospodarstwie, gdyż poczwarki ich pasożytne, najczęściej po kilka naraz, żywocą w poczwarkach innych owadów, przeważnie w poczwarkach motylich, zapobiegając zbytecznemu ich rozmnożeniu“.

Mógłbym, moi panowie, sto podobnych ustępów przytoczyć, dowodzących, że owady w utrzymywaniu równowagi świata owadziego najważniejszą rolę odgrywają, i że nic tak prawdziwej umiejętności w poprzek nie staje, jak owe banalne zdanie: „Ptaki są pożyteczne, bo żywią się owadami“.

Słyszeliśmy dotąd Brehma Taschenberga, przysłuchajmy się teraz samemu A. E. Brehmowi. Jak się rzekło, opisuje on w dwóch tomach ptaki. Istny mistrz pióra, maluje on wszystko najpiękniejszymi barwami — wielki miłośnik ptaków, jest on w ciągłem upojeniu, które go aż w sfery poezyi unosi. Spotykamy tu więc wszystko, czego sobie życzyć możemy — brak tylko jednego: Brehm nie ma ani wyobrażenia o entomologii i dlatego wszystkie jego konkluzye, tyczące się życia ptaków, są zupełnie chybione.

Jeśli mu przyjdzie wspomnieć gdzieś o owadach, ma tylko jeden na nie wyraz *Kerbthiere* — i te „Kerbthiere“ są wedle niego wszystkie szkodliwe. Owady tępić — to w jego oczach największa zasługa.

A chcecie panowie próbek? Oto posłuchajmy co mówi na str. 136 III-go tomu, o sposobie życia zięby: „Zięba jest tylko pożyteczną, szkód żadnych nie wyrządza. Zjada nasiona różnych roślin, ale przeważnie chwastów. W czasie gnieżdżenia się żywi siebie i swe pisklęta owadami i staje się przezto istnym dobroczyńcą lasow i ogrodów“.

Uważcie, moi panowie, „owadami“ — „Kerbthiere“ — a tymczasem między tymi „Kerbthierami“ jest, jak już wskazałem, 70% pszczół, much, kusokrywek, komarów, owadziarek — jednem słowem naszych najlepszych sprzymierzeńców.

Lecz idźmy dalej. Na str. 152 tak Brehm o szczygle mówi: „Szczygieł pojawia się na ostach, aby ukryte w nich ziarna wyjadać. W lecie pożera zresztą wiele owadów, jest więc w każdej porze roku pożytecznym, a przez tępienie szkodliwego chwastu, oddaje równie wielką usługę, jak przez tępienie owadów“. I tu zatem mamy znowu „Kerbthiere“, choć muszę pobocznie zauważyć, że szczygieł przez wyjadanie owych „Kerbthierów“ niewielką nam szkodę wyrządza, gdyż młode swe żywi już 6-go dnia rozmiękczonymi w swym wolu ziarnami pszenicy. Prócz tego byłoby tu na swojem miejscu zapytać: skoro nasz dzielny Brehm poczytuje szczygłowi wyjadanie ziarn ostu za zasługę, to czemuż nie dodał, że dopóki proso, hreczka i konopie są w polu, szczygieł między nimi od rana do nocy się uwija i czasem wszystko, aż do ostatniego ziarnka wyjada?

To jednak, co Brehm u szczygła przeoczył, zauważył u dzwońca. Posłuchajmy co pisze na str. 192: „W okolicach, gdzie konopie sadzą, może ów ptaszek być czasem bardzo szkodliwym, gdyż trudno go od tego ulubionego żeru odpędzić. Prócz tego staje się dokuczliwym i w ogrodach

warzywnych; lecz prawdopodobnie przynosi więcej pożytku niż szkody przez wyjadanie nasion różnych chwastów“.

Nie chcę ani słowa tracić nad tem szczególnem zaręczeniem i przechodzę dalej do III. tomu str. 87. Czytamy tam: „Nietylko nasz chłop upatruje we wróblach gości niepożądanych; także i narody innych części ziemi użalają się na szkody, wyrządzane przez tych drobnych ziarnojadów“.

Wielka mnogość czyni wróble strasznymi. Nie jest to wcale rzeczą obojętną karmić całymi tygodniami setki tytych drobnych żarłoków. Co to jest za klęska, o tem my, w Trentynie, wiemy bardzo dobrze, i ochrona przed tymi żarłokami jest rzeczą całkiem usprawiedliwioną.

Dalej pisze Brehm na str. 154: „Wróble są wybredne i nie zadawalniają się długo jednostajnem jadłem: spadają też na drzewa owocowe wszelkiego gatunku masami i wyrządzają tu czasem wielkie szkody“.

No, nareszcie myślałby kto z tych słów, że wróbel jest zwierzęciem szkodliwem. Gdzie tam! Na stronie 159 dodaje Brehm co następuje: „Wróbel przynosi przez zjadanie „kerbthirów“ znacznie większy pożytek, niż szkodę, którą wyrządza; należy go więc jako przeważnie pożytecznego ptaka uważać“.

I cóż Brehm rozumie przez te przeklęte „Kerbthiere“? Ach, poczciwy ten przyrodnik, jak to już rzekłem, nie miał żadnego wyobrażenia o entomologii, i jak raz wsiadł na swój ulubiony wyraz „Kerbthier“, a chciał go dokładniej określić, to trafił mu się ten casus, że z czterech rodzajów owadów, które wymienił i których niszczenie uznał za wielką zasługę, trzy są jako bardzo pożyteczne w VI-ym tomie jego dzieła sławione.

Trafiło się to przy opisie muchołówki na str. 732. „Latające owady rozmaitego gatunku — mówi tam Brehm — przedewszystkiem muchy, komary, motyle i ważki, są pożywieniem muchołówki. Należy też ona, podobnie jak jej pokrewne, do najpożyteczniejszych stworzeń, bo oddaje znaczne usługi przez chwytanie natrętnych owadów. Nie staje się nigdy szkodliwą, chociaż czasem i pszczołę złowi“.

Darowałbym ja już muchołówce pszczoły, ale rączycy *(Tachina)*, tego stróża naszych lasów, najstraszniejszego wroga mniszki i barczatki sosnówki, tego najpożyteczniejszego owadu, nie mogę jej darować. Skoro się muchołówka w lasach naszych pojawi, krząta się niezmordowanie, ażeby tylko rączycę tępić, ową rączycę, o której przecież sam VI-ty tom Brehma na str. 507 mówi, że „natura ją wydała (ja rzekłbym Pan Bóg), ażeby utrzymywać równowagę z nieskończenie zawikłanem jej gospodarstwie“.

Jakże więc możemy muchołówkę, tego rabusia, sławić jako najpożyteczniejsze stworzenie? Nie, byłoby to nielogicznem, i gdyby tylko Brehm był swój VI. tom przewertował, to nie byłby się sam z lekceważeniem o „Kerbthierach“ wyrażał, a tem mniej byłby wysławiał jako najpożyteczniejszego ptaka muchołówkę, która naszych najlepszych sprzymierzeńców, muchy, komary i ważki tępi.

Gdybyśmy wedle wszystkiego, co się powyżej rzekło, chcieli umiejętnie nasze rolnictwo wspierać, to powinnibyśmy drogą ustawodawstwa ochraniać wszystko to, co Stwórca dał naturze na powstrzymywanie rozmnoży ptaków i wszystkie nasze środki w ruch wprawić, aby w szczególności liczba drobnych ptasząt się zmniejszała.

Rozumie się, iż działając w tym celu, nie powinniśmy być nieludzcy i okrutni. Musiałyby być zatem wszystkie te środki łowienia ptaków zakazane, które są nieludzkie, a nadto musiałyby być ptaszęta chronione w czasie lęgu, bo wtedy zmieniają one całkiem swe zwyczaje, i oddają się poniekąd same w opiekę człowieka. Poza tem zaś należałoby praktycznie wszystko to czynić, co naprawdę sprzyja rolniczej kulturze, a czego sama przyroda nas uczy.

Lecz na tym punkcie zamiast wskazówek umiejętności, wdzięczności i pożytku, kierują się ludzie estetyką, rozkoszą zmysłów i t. z. humanitarnością. „Jeżeli nie mamy drobnych ptaszków chronić dla ich pożyteczności, to chrońmy je dla estetyki“. Oto aforyzm profesora Altum'a. A wysoko sławiony specyalista, Dr. Karol Russ, pisze w w Nrze 7035 *Nowej Pressy* co następuje: „Tak jest, drobne ptaszki są w południowej Europie dla uprawianych roślin szkodliwe, ale przecież należy je wszędzie ochraniać“. Daje nam przytem Dr. Russ, obok innych oryginalnych poglądów, tę humorystyczną radę, ażebyśmy hodowali dużo drzew owocowych, na których bywa wiele owadów, bo wtedy będą się mogły ptaszki łatwo wyżywić. Pojmujecie panowie! Mamy sadzić drzewa owocowe, aby ptaszki miały dość owadów!

Chętnie przyznaję, że pod względem estetycznym są ptaszki prawdziwą ozdobą naszych pól i lasów. Ale któżby zaprzeczył, że takąż ozdobą nie są także motyle? Jakaż to rozkosz ujrzeć w pierwszych dniach wiosny cytryniaka, żałobnicę, pawika, pokrzywnika. te wszystkie zwiastuny łagodnej pory roku? A o ileż żywszym staje się ten ruch, gdy przybędą niestrzępie, kapustniki, ruchliwe admirały, ceiki, osetniki, cesarki, perłowce, pyszny Apollo lub paź królowej, wspaniały żeglarek, albo wesołe modraczki i dukatki? Jakże to miło każdemu, któremu uroki natury nie są obce, spotkać się z tymi dobrymi znajomymi, rozliczne ich barwy i kształty, właściwości i zwyczaje badać i podziwiać? Lecz, niestety, wszystkie te miłe, estetykę w przyrodzie tak podnoszące stworzenia, są mniej lub więcej szkodliwe i wszystkie są na zagładę skazane.

Co się tyczy humanitarności mógłbym się z mego stanowiska zapytać: czy to jest rzeczą humanitarną, jeśli się słonkę, kuropatwę lub głuszca postrzeli, i jeśli się go z potrzaskanymi nogami, lub złamanym dzióbem na śmierć głodową skaże? My przynajmniej nie męczymy żadnej naszej ofiary, — dość pół sekundy i już jest po niej. A czemuż nie przemawia się z humanitarnych względów za zupełnym zakazem polowania? Jestem pewny, że ustawa tego rodzaju, nie zyskałaby sankcyi cesarskiej i całkiem słusznie.

Nie są to zatem trafne argumenta, któreby przemawiały za ograniczeniem, lub co więcej za zakazem łowienia ptaków. O wiele trafniejszymi wydają mi się powody, przytaczane za zupełną swobodą łowienia. Wedle mego rachunku z przecięcia dziesięcioletniego, łowi się w Trentynie rocznie około 500.000 ptaków. Przedstawiają one dochód 30.000 zł., któreby się krajowi naszemu odjęło, gdyż w razie zupełnego zakazu chwytania ptaków, musiałoby się tyle na przykupno bydła rzeźnego wydawać. A trzeba przytem zważyć, że przynajmniej 80% owego dochodu przypada ludziom najuboższym, którzy się naprawianiem sieci zajmują i przy łowieniu ptaków pomagają. To wszystko jednak mniejsza; najważniejszą rzeczą jest to, iż przez wyłowienie pół miliona ptaków, usuwa się od kraju szkodę, jakąby one zrządziły, a którą co najmniej na 100.000 zł. szacować należy.

(C. d. n.)

Jak powstają myśliwi.

Wspomnienie z młodych lat.

Gdy byłem w trzeciej klasie, w roku tysiąc osiemset... (lecz na co to rachować! lat nikt nie ukradnie), powiedział do mnie ojciec:

— Jak zdasz egzamin celująco, dostaniesz strzelbę z przyborami i pójdziesz z nami na polowanie.

Egzamin zdałem — po egzaminie dostałem strzelbę, pojedynkę kabzlową — gdybym dziś taką dostał, nie wiedziałbym co z nią robić — ale wtedy uciechy było co niemiara. Zacząłem od strzelania do celu. Do polowań trzeba było czekać jesieni — nim ta nadeszła, strzelałem do ptaków, lecz tylko w obecności ojca; inaczej nie wolno było brać strzelby, która wisiała w ojcowskim pokoju.

Ale na wszystko jest sposób. Gdy ojca nie było w domu, ogrodnik Floryan za cwancygiera z Matką Boską wynosił strzelbę do lasu i tam strzelałem, co się nawinęło. Tym sposobem nabyłem wprawy.

Nadeszło nareszcie niecierpliwie oczekiwane polowanie. Polowaliśmy z psami. Pamiętam, że gdy psy gonić poczęły, a ja ujrzałem na jakie 120 kroków lisa — to słyszałem każde uderzenie serca. Do strzału nie przyszedłem. Stałem do południa obok ojca, ale zwierz na nas nie wyszedł. Po południu oddał mnie ojciec opiece Szymona, leśnego, z którym w las poszedłem. Deszcz psuł nam rozrywkę, padał ulewny. Psy zaczęły gonić, stary Szymon ze skałkówką klęknął na ścieżce, gdy psy ku nam się zbliżały, a mnie polecił schować się za drzewo. Wtem idzie zając na sztych i zakołkował na 15 kroków. Szymon ściąga — zamoknięty proch pali się chwilę z sykiem na panewce, zając dał susa w bok i znikł w krzakach, i dopiero strzelba wypaliła. Ja w śmiech, a Szymon zaklął i rzekł: „Psiakrew, zamokła“.

Zabito cztery zające i wcześnie wracamy do domu Gdyśmy już dojeżdżali na dziedziniec, mówi ojcu lokaj:

— Dzika kaczka siedzi od godziny na stawie.

Starsi myśliwi poszli nad staw, ja musiałem się przypatrywać. Padło cztery strzały, cyranka poleciała, panowie poszli do domu — a ja śledziłem cyrankę, która, okrążywszy kilka razy, siadła na drugi niżej położony stawek. Podsunąłem się z po za grobli — strzeliłem i zabiłem pierwszą w życiu grubszą sztukę.

Od tej chwili zostałem pasyonowanym myśliwym. Ojciec z tej mojej namiętnej pasyi myśliwskiej niebył zadowolonym, a chcąc mnie wyleczyć, polecił rezydentowi (a gdzież w szlacheckim domu po r. 1831 nie było rezydenta!) zrobić mi następującego figla.

Gdy się do nas zjechało kilkanaście osób i siedzieli na galeryi, pijąc czarną kawę, przychodzi ogrodnik i mówi do rezydenta Łazowskiego:

— Proszę pana, w ogrodzie w kapuście jest zając.

Słowa te zelektryzowały mnie; pobiegłem po sztrzelbę i dalej za ogrodnikiem. Za mną idzie Łazowski ze strzelbą i woła:

— Ty go chybisz! Czekaj, ja będę strzelał.

Ale ja nie słucham, tylko biegnę naprzód. Ogrodnik pokazuje w kapuście zająca. Goście szli za Łazowskim. Strzelam i klaszcząc w dłonie wołam:

— Jest, jest!

Łazowski śmieje się i mówi:

— Czekaj, by nie uciekł.

Idziemy razem, ja podnoszę zająca i staję przerażony...

Była to zajęcza skórka, grochowiną wypchana.

Wszyscy w śmiech, szkaradna dnkonfitura. Na to nadchodzi ojciec i mówi:

— Nierozważnie postąpiłeś i wykierowałeś sią na kpa. Niechaj ten figiel będzie dla ciebie nauką na całe życie.

Zdarzenie to ochłodziło chwilowo zapał, ale namiętność przemogła i zostałem zapalonym myśliwym. Nauka jednak nie poszła w las, bo gdy później różni podsuwali mi różne skórki, grochowianką wypchane — nie powiem, żeby mnie nigdy niezłapano — ale nie łatwo szedłem na lep.

Bereska, 25. listopada 1891.

Teofil Żurowski.

KORESPONDENCYE.

Z nad Brnia w grudniu 1891.

(Piękna knieja).

Dnia 2. i 3. grudnia odbyły się wspaniałe łowy u Jana Barona Konopki w Brniu. Pierwszego dnia polowano w lesie — dzień był pochmurny — mróz nie chciał się zdecydować brać udziału w polowaniu, więc ruszyliśmy sami z gospodarzem na czele.

W lesie jak w parku jakim — piękne linie — malowniczo z choiny sklecone zasłony na stanowiskach — porządek wzorowy i tajemnicza cisza, przerywana gęstymi strzałami, wszystko to stanowiło całość, upajającą duszę każdego myśliwego. Różnorodność zwierza — istny kaleidoskop: Tu sadzi przez linię wspaniały rogacz, który swą śmiałość przepłaca życiem, za nim spłoszone sarny, jak iskry elektryczne, w okamgnieniu zdaje się pod ziemią znikły — nastaje złowroga cisza, której przerwanie chytry lis przepłaca futrem. Potem tyralierka grzmi wspaniale, a przy tej piekielnej muzyce szaraki tańczą, kończąc pojedyńczym lub podwójnym salto-mortale swój balet.

I już się zdaje, że natura się wyczerpała, że nic żyjącego w lesie nie zostało! — W tem istny cud! — na tle

ciemnych świerków zjawiają się jak śnieg białe sarny. Ukazanie się ich tak elektryzuje i poetycznie usposabia myśliwego, że na chwilę zapomina, iż ma strzelbę w ręku, że był tam i rogacz — a po chwili, już ich niema; i zdaje się, że to był czar tylko. Lecz nie! — to ulubienice gospodarza.

Z tego upojenia budzi myśliwego hałas zrywającego się bażanta; ale snać w lisiej szkole uczony, bo pruje wesoło powietrze po nad pogonką, omijając tych, którzy nań czekają. W końcu, jak lekka chmurka, porwały się kuropatwy i znikły bez śladu za wierzchołkami kołyszących się brzóz.

I już widać roje nadchodzącej pogonki — słychać swojską komendę naczelników, i od czasu do czasu echo w bór daleki unosi konsekwencye nieposłuszeństwa.

Tak miot za miotem przechodzi — a każdy uroczy, każdy odmienny.

Wynik łowów był ten, że nas losy wyróżniły; zwyczajnie bowiem bywa, że drużyna myśliwska wraca z królem na czele, a myśmy wracali z królową! Była nią pani H. J., która biorąc niezmordowanie udział w polowaniach, dzielnym strzałem do rogacza na przesmyku, pomykającego wśród gąszczu w szalonym pędzie, zdobyła berło królowej.

Wieczorem nad wyraz uprzejmi gospodarstwo podejmowali prawdziwie po staro-polsku swych gości.

Dnia następnego było polowanie w polach. Dzień się zapowiadał pięknie — mgły rano opadały — ale niestety opadały aż do wieczora, co na każden sposób utrudniało prowadzenie polowania w ogromnych polnych miotach. Lecz i pomimo mgły, która o 50 kroków wszystko zasłaniała, przeszło 200 ludzi w pogonce było prowadzonych z prawdziwą umiejętnością, a rezultat był nadspodziewany.

Wiosna tegoroczna tu w okolicach nad Wisłą, Dunajcem i Brniem była bardzo niekorzystną dla rozwoju zwierząt łownych. Częste bowiem wylewy wód, pokrywające z nienacka ogromne obszary pól, wytopiły młode zające — kuropatwy — przepiórki i t. d. Gdyby nie ta wiosna, to stan zwierzyny byłby bez porównania większym, a oraz i rezultat polowania świetniejszym. Zawsze jednak w dziewięć strzelb, na 396 strzałów, padło 8 rogaczy, 130 zajęcy, 2 lisy, 1 kuropatwa i 1 jastrząb.

Z bażantami, z powodu zbyt dużych miotów leśnych, nie można się było spotkać na strzał, cofały się przeważnie na pogonkę.

Nowo zaprowadzony, bo od roku dopiero z wszelką umiejętnością, chów bażantów w lesie Breńskim, rokuje świetną przyszłość. Gdyby nasz kraj posiadał wszystkich myśliwych tak dbałych o los zwierzyny jak Jan Baron Konopka, pewnieby w niedługim czasie zwierzostan Galicyi był przykładem dla innych krajów.

Natura dała wszystko — brak tylko ustaw surowo przestrzeganych, i dobrych chęci; lecz Bogu dzięki, że nie wszędzie. *P. Tr.*

Kolbuszowa, w grudniu 1891.

(Srebrna horda mykitów).

Czasy napadów złotej ordy Tatarów, przeminęły raz na zawsze, a jak daleko sięgały szlaki owych strasznych spustoszeń, jakiemi ta ludzka szarańcza pochód swój znaczyła, opowiada historya.

Dziś z Manlicherami i Uhacyuszami nie boimy się już złotej ordy, ale mamy za to do czynienia z hordą innego rodzaju, której napad znaczy się również śladami wielkiej szkody, acz w kierunku nieco odmiennym. Hordę tę, którą nazwałem srebrną, stanowi niezwykła ilość lisów, jaka się w bieżącej dobie polowania w tutejszej okolicy pojawiła. Powtarzam „srebrna horda“, z powodu, iż wszystkie w tutejszej okolicy ubite lisy, z wyjątkiem dwóch czy trzech, były żółto-siwawe, t. j. miały na grzbiecie sierć, której końce lśniły kolorem srebra, czyli po myśliwsku mówiąc, były to lisy „srebrzyste“.

Lecz tak, jak złota orda nieraz była gromioną, tak i srebrna dostała porządnie po skórze w okolicy Kolbuszowy. W kilku potyczkach z zastępem tutejszych myśliwych zostawiła szesnaście trupów na placu boju, oraz czterech ciężko rannych, o których można powiedzieć, że zginą niezawodnie.

Wprawdzie ilość ta, w stosunku do innych okolic, wyda się może za małą, ale na tutejsze stosunki jest to dosyć, gdyż tu prowadzi się racyonalne gospodarstwo łowieckie i lis bywa bezwzględnie tępiony. Zwiększona ta liczba zniewala mnie do przypuszczenia, że nie mieliśmy do czynienia z samym przyrostem jednego okresu rozpłodowego, lecz także z przywłokami z okolic dalszych, lub z sąsiednich lasów, gdzie lisy używają może większej swobody.

Oto jakeśmy się z tymi rubusiami spotykali. Przy sposobności polowania na kuropatwy w pierwszej połowie września b. r., weszła w konicz drużyna myśliwska, składająca się z pięciu osób, a puściwszy dwa psy, postępywała za nimi łańcuchem tyralierskim. Obok wspomnionego koniczu, zajmującego kawał pola około jednej ryzy, orał chłop w oddaleniu najdalej pięćdziesiąt kroków i mając chude konięta, wiokał dosyć często. Nie mieliśmy przeto wielkiej nadziei natrafienia na kuropatwy, zwłaszcza, że i psy nic nie sygnalizowały. Dopiero jakoś przy końcu tego obszaru, pokrytego koniczem jeszcze na pniu stojącym, zaczął jeden pies ściągać, ale zanim miał czas nastawić „sygnał“ i stanąć, już trzy sztuki porwały się z miejsca. Tak, trzy sztuki, lecz któż zechce uwierzyć, że to nie były kuropatwy, tylko 3, wyraźnie trzy lisy, używające siesty w koniczynie.

A teraz drugi fakt.

W lasach wsi Dymarki, należącej do dóbr Zdzisława hr. Tyszkiewicza, no polowaniu, urządzonem w październiku b. r., wyłącznie na lisy, było widzianych dwanaście lisów, z których dostało się pod strzały tylko siedm, a z tych cztery oddały swe futro. Podnieść tu jednak muszę, że w jednym tylko miocie ukazało się ich razem sześć, i to właśnie dało powód do przypuszczenia, że były to nietylko miejscowe lisy, lecz i zawłoki.

Zapytywałem nieraz starych leśników i myśliwych, jaka może być przyczyna pojawiania się w pewnych latach znacznie większej ilości lisów, niż to bywa zwyczajnie? Na to otrzymywałem w odpowiedzi, że przychodzą z gór, lub też wędrują z północy na południe, gdy przeczuwają ostrą i długą zimę. Otóż nie wydaje się to zupełnie trafnem, gdyż w takim razie mielibyśmy podczas każdej z ostrzejszych zim wielką ilość lisów, a tymczasem nie zawsze tak bywało, ten zaś najazd srebrnej hordy tej zimy, która dotąd iście włoską jest zimą, całkiem już owemu twierdzeniu leśników przeczy.

Zgadzam się, że lis, przyciśnięty głodem, ściąga się do okolic obfitych w zwierzynę, ale ażeby odbywał dalekie wędrówki na kilka miesięcy przed ostrą zimą, tego przypuścić niepodobna.

Mnie się zdaje, że właśnie ostra i w sypki śnieg obfita zima jest dla mykity (rozumie się w okolicy, gdzie jest dość zajęcy), najbardziej sprzyjająca, bo na zdobycie żeru nie potrzebuje się bardzo fatygować, biorąc zająca albo w kotlinie, albo też o sto kroków dalej, zając bowiem, zapada się w śniegu i nie jest w stanie ujść jego pogoni.

Naturalnem następstwem pojawienia się większej ilości lisów, było zmniejszenie się ilości zajęcy, chociaż niezawodnie i inne jeszcze przyczyny działały nieprzyjaźnie na ich rozmnożenie, bo wszędzie jest ich bardzo mało. Mimo to rezultat za cały rok 1891 z polowań, urządzanych w Cmolasie, Dzikowcu, Hadykówce, Kopciach, Kosowach, Przedborzu i Zielonce nie jest do pogardzenia. Przedstawia się on dość imponująco, jeśli nie co do liczby sztuk, to przynajmniej pod względem rozmaitości ubitej zwierzyny. Oto padło: 4 kozły, 16 lisów, 80 zajęcy, jarząbek, 5 słonek, 6 kaczek, 5 dubeltów, 2 kszyki, 24 kuropatw, grzywacz, turkawka, 2 kuliki ugorowe czyli półkulony, 14 przepiórek i 18 chruścieli.

Na tem zamykam spis zabitej zwierzyny w czasie od 1-go stycznia, aż do połowy grudnia 1891 roku, ponieważ, o ile mi wiadomo, w tym roku nie będzie już żadnego polowania. *Seweryn Kisielewski.*

Kamienna, w grudniu 1891.

(Nasze stosunki łowieckie).

Tej jesieni dla pory nieodpowiedniej, jeszcze nie było żadnego większego polowania. O słonkach nie ma co i pisać, jak i o błotnem ptactwie, gdyż tego tak jakby nie było w tym roku. Śniegu nie ma, to i z polowaniami każdy wyczekuje do stosowniejszej pory. Jedynie kilka maleńkich polowań, które nawet polowaniami nazwać nie można, odbyło się i o tych parę słów napiszę.

Najprzód w Turzy, u pana Jakóba Agopsowicza zabawiano się w kniei. Padło tam 8 kozłów, 10 lisów i 40 zajęcy. Do zajęcy nie strzelano z obawy, iż w tym roku mało jest u nas zajęcy, więc tylko po 2 zające każdy strzelał; dla tego tak mało padło.

W Nadwórniańskiem, na gminnem polowaniu, dzierżawionym przez pana W; polowano w 4 strzelby w rewirze Hwozd i ubito 4 dziki, 6 lisów, 7 kozłów, 11 zajęcy i kunę.

U pana Alfreda Dubsa w Majdanie średnim, polowano w połowie listopada i ubito 4 kozły, 3 lisy i 3 zające. Dzień był fatalny, burza niezwykła, myśliwi się nie zjechali z łaski influenzy, a że mioty duże, bo to knieja jedna z większych, więc zwierzyna przechodziła pomiędzy myśliwych nietykana. Skoro śnieg spadnie, to gościnny gospodarz powetuje niepowodzenie, a wtedy może lepszym rezultatem się pochwalimy.

Polowaliśmy także z jamnikami, tu i owdzie na borsuki i lisy, lecz tylko jeden dzień był sprzyjający, mianowicie u pana Z. Ładomirskiego, gdzie z jednym jamnikiem wzięliśmy 3 borsuki i 3 lisy. Kiedy indziej zawsze tylko jeden lis lub jeden borsuk był zdobyczą wyprawy.

G. Głuchowski.

Sprawozdania łowieckie.

W dniach 16., 17. i 18. listopada r. z. polowano w ośm strzelb w lasaach Bachórz-Błażowa, do p. Zdzisława Skrzyńskiego należących, i ubito w tymże czasie 6 rogaczy, 19 lisów, 64 zajęcy, kunę leśną, kuropatwę i kota zdziczałego, razem 92 sztuk zwierzyny.

Polowanie to, na które przybyli pp.: Stanisław hr. Stadnicki, Stefan hr. Szembek, Ignacy hr. Stadnicki, Michał hr. Baworowski, oraz podpisany ze synem swoim Stefanem, prowadzone było z wzorowym porządkiem przez uprzejmego i gościnnego gospodarza, któremu sprawiedliwość oddać niniejszem należy — iż jako znany myśliwy, a nadto delegat Tow. łowieckiego na powiat brzozowski, stara się usilnie o podniesienie łowiectwa w swoim okręgu, i niezprzeczone na tem polu zasługi położył. Zaproszeni goście wywieźli z tych pięknych łowów bardzo miłe wspomnienie.

Zbigniew Trzecieski.

W dniu 19. grudnia r. z., zjechali pp. Kazimierz Trzciński i podpisany do hr. Alberta Starzeńskiego w Dąbrówce w odwiedziny, gdy nagle służba leśna dała znać, że w pobliskim lesie ogromny odyniec obtropiony został. Jakoż nie tracąc czasu, wyruszyliśmy z gospodarzem i leśniczym, we 4 tylko strzelby, i po pochodzie dość trudzącym, z powodu świeżych i puszystych, w poprzednim dniu spadłych śniegów, udało się podpisanemu ubić owego kolosalnych rozmiarów, 175 kilo ważącego, a 1 metr i 10 centymetrów wysokości mierzącego odyńca, istnego patryarchę tamecznych lasów. Jako najstarszy wiekiem w tej okolicy myśliwy, muszę uprzejmemu i gościnnemu gospodarzowi oddać niniejszem sprawiedliwość, iż choć młody jeszcze, jednak co do znajomości rzeczy w kierowaniu polowaniem na wszelkie uznanie zasługuje, i spodziewać sie należy, iż z czasem polowanie w Dąbrówce, co do stanu dzików, na miano „małej Poturzycy“ sobie zasłuży. *Zbigniew Trzecieski.*

Dnia 12. b. m. polowano w dwanaście strzelb u pana Bronisława Langa, właściciela dóbr Wieczorki. Miotów wzięto ośm w kniei wzorowo pielęgnowanej przez samego gospodarza, mimo, że nie jest myśliwym. Strzałów padło wiele, bo dość dużo pudłowano; zabito sztuk ośm, a mianowicie: 3 lisy, 3 zające, rogacza i lochę, którą ubił p. Aleksander Hulimka z ekspresa. *R. Lewandowski.*

Na Bukowinie polowano w Teodorestie w d. 21., 22. i 23 listopada z. r. i ubito 27 lisów, 30 zajęcy, dzika, jelenia i orła królewskiego.

W Franzthalu odbyło się polowanie d. 21. listopada. Padło na niem 5 lisów i 22 zajęcy.

KRONIKA.

W ustawodawstwie łowieckiem dążą rozmaite kraje do ulepszeń, w miarę postępu nauk przyrodniczych i potrzeby administracyjnego uporządkowania stosunków łowieckich.

Ustawa, mająca obowiązywać Galicyę, nie jest jeszcze niestety, uchwaloną. Co więcej, dowiadujemy się, że projekt, który był przez ministerstwo nadesłany, a następnie przez Namiestnictwo i gal. Towarzystwo łowieckie rozpatrzony, i który mial następnie wejść do sejmu jako przedłożenie rządowe, został już zaniechanym, a ministerstwo nadesłało Namiestnictwu nowy projekt do zbadania. Czy on stosunkom naszym będzie więcej odpowiadał niż poprzednie — zobaczymy; wieść niesie, że są w nim podobno jeszcze dalsze zapędy doktrynerskie w traktowaniu spraw łowieckich, o których najmniej przy zielonym stoliku decydować można — że opiera się na niepoprawnie centralistycznem dążeniu do ujednostajnienia stosunków łowieckich w monarchii, jak gdyby monarchia leżała pod jednym stopniem szerokości geograficznej i przyroda była skłonną do rozporządzeń *von Oben* się stósować. Niedźwiedzia, wilka i rysia ma być podobno, wedle tego projektu, wolno każdemu strzelać, bez względu na własność prawa polowania — a jeśli kto chce przyjemność tę tylko dla siebie, jako właściciel polowania zabezpieczyć, to może te miłe zwierzątka chodować... w zwierzyńcach. Natomiast właściciel polowania jest podobno odpowiedzialnym za szkody, wyrządzane przez dziki, i ma płacić odszkodowanie. Projektodawca od zielonego stolika, ma więc widocznie tylko owe przyzwoite, z koryta karmione dziki niemieckie na oku, które się na zawołanie na linię strzelców pędzi. Ani sobie wyobraża, że nasz odyniec zrobi czasem paromilowy spacer w ciągu jednej nocy, ażeby gdzieś łan kartofli zbuchtować, i na drugi dzień rano jest już nazad w swojej ostoi. Winszujemy właścicielowi polowania tego terenu, na którym jest łan kartofli, gdy mu przyjdzie płacić odszkodowanie za dzika, o kilka mil przebywającego.

Jeżeli pogłoski te co do nowego projektu ustawy łowieckiej są prawdziwe, to możemy być pewni, że znajdzie się przeciw tak niewłaściwym zapędom zwarta opozycya, a że gal. Towarzystwo łowieckie i „Łowiec" uczyni to, co do nich będzie należało, rozumie się samo przez się.

W Królestwie polskiem zacznie prawdopodobnie już w tym roku obowiązywać nowa ustawa łowiecka. Wedle wiadomości, jakie w tej mierze otrzymał „*Warsz. Dniewnik*" z Petersburga, zabrania nowe prawo polować na żubry, samice, łosie (klempy), jelenie (łanie), sarny (kozy), oraz na młode z tego gatunku zwierzyny w ciągu całego roku, na łosie (samców) od 1. stycznia do 15. sierpnia, na jelenie od 1. marca do 15. lipca, na kozły od 1. listopada do 1. czerwca, na tury, czarne i inne kozy górskie od 1. marca do 15. czerwca, na kaczki w ogóle od 1. do 29. czerwca, na kaczki samice, dubelty, bekasy, chruściele, kuliki i inne ptactwo wodne i błotne od 1. marca do 29. czerwca, na gęsi i łabędzie od 1. maja do 29. czerwca, na głuszcze i cietrzewie (samce) od 15. maja do 15. czerwca, na głuszcze i cietrzewie (samice), jarząbki, pardwy i przepiórki od 1. maja do 15. lipca, na bażanty i zające od 1. lutego do 1. września, na szare i czerwone kuropatwy od 1. grudnia do 15. sierpnia, na wszelkiego innego gatunku zwierzynę, z wyjątkiem drapieżnej, od 1. marca do 29. czerwca. W ogóle należy zwrócić uwagę, że od 1. marca do 29. czerwca polowanie z psem jest zupełnie wykluczone. Na zwierza i ptaka drapieżnego, szkodliwego czy to dla ludzi czy dla zwierząt, polowanie otwarte jest przez cały rok: do tej kategoryi zwierzyny zalicza nowe prawo: wilka, niedźwiedzia, lisa, borsuka, wiewiórkę, dzikiego kota, orła, sokoła, jastrzębia, srokę, wronę itd. Terminy wyżej notowane są według starego stylu, czyli, że według nowego stylu termina te przypadną o 13 dni później.

Nowe to prawo obowiązywać będzie we wszystkich guberniach, w Liflandyi, Estlandyi, w Ziemi wojska dońskiego i na Kaukazie.

Co do gubernij Królestwa i Kurlandyi, minister dóbr państwa władnym będzie wprowadzić pewne zmiany w istniejących już przepisach o polowaniu, utrzymując obowiązujący tu myśliwski *census* gruntowy.

Dalej nowe prawo postanawia, że właściciel ziemi, który chce polować w swojej posiadłości, lub osoby, którym pozwala u siebie polować, winny posiadać świadectwa myśliwskie (wydawane przez naczelników powiatów lub sprawników). Przepis ten nie obowiązuje w gub. archangielskiej, wołogodzkiej, ołonieckiej, permskiej, wiackiej, kostromskiej, w pow. chołmskim pskowskiej gub., kiryłowskim i białozierskim pow. nowogrodzkiej gub., semionowskim i makariewskim pow. niżegorodzkiej gub., w czeboksarskim, czerewokoksajskim i kozmodemiańskim pow. gub. kazańskiej. Swiadectwa myśliwskie są roczne (5 rs.) i z wyjątkiem sezonu wiosennego od 1. marca do 29. czerwca (3 rs.) Osoby, pozostające pod dozorem policyi lub karane za defraudacyę leśną albo za naruszenie prawa o polowaniu, świadectw myśliwskich uzyskać nie mogą.

Co do kar, pomiędzy innemi, wyznaczone są następujące: za zabicie żubra 500 rs., za polowanie w czasie zabronionym lub za cudzym świadectwem od 10 do 100 rs., za polowanie na cudzem terytoryum bez pozwolenia od 5 do 25 rs., w zagrodzonych parkach lub na polach przed żniwami kara się zdwaja. Za polowanie bez świadectwa, za niszczenie gniazd, wydobywanie piskląt lub jajek od 5 do 25 rs., za zabicie samicy łosia lub jelenia 50 rs., kozy lub cielęcia z tego gatunku zwierza 25 rs., za sprzedaż dziczyzny w zabronionym czasie winni ulegają karze 25 rs. za każdego łosia, jelenia lub kozła, a po 1 rs. za każdą sztukę innej dziczyzny. Za powtórnem przekroczeniem wymienionych przepisów kara się zdwaja, z wyjątkiem kary za zabicie żubra. Kary te zaliczone zostają do specyalnych funduszów ministeryum spraw wewnętrznych, przeznaczonych na wzmocnienie kontroli nad poszanowaniem prawa o polowaniu.

Napad wilków. W miejscowości Briaza, na Bukowinie, gromada wilków dnia 15. grudnia opadła stado owiec i poczyniła między nimi straszliwe spustoszenie. Właściciel owiec, Aleksander Bensz, spostrzegłszy co się dzieje, wybiegł z chaty z kijem w ręku, w tejże jednak chwili jeden z wilków rzucił się na niego i tak pokaleczył, że nieszczęśliwemu grozi utrata życia.

Do puszczy Białowieskiej udało się w grudniu r. z. grono studentów przyrodników uniwersytetu wiedeńskiego. Przejeżdżali oni 12. grudnia przez Warszawę, a udali się do Białowieży w celu przyjrzenia się na miejscu żubrom

Nowy zwierzyniec zakłada miasto Kalisz, w lasach miejskich Wolica, o sześć wiorst od Kalisza oddalonych. Zwierzyniec ten wkrótce będzie gotów i zwierzęta z parku miejskiego zostaną tam przeprowadzone. Zwierzyniec mieścić się będzie na 40-stu morgach lasu. Przestrzeń tę ogrodzono mocnym i wysokim płotem, przez który ani jeleń nie przeskoczy, ani zając się nie przedostanie. W ogrodzonej przestrzeni znajdują się gąszcze, kawałek łąki i dwa stawy, w tych więc waruukach zwierzęta żyć będą jak na wolności.

Z Białocerkwi piszą do *Wieku:* Zwierzyny u nas bardzo mało. Zająca rzadko widzieć można, ptactwa błotnego było mało, przepiórek więcej, kuropatwy wyginęły. Lisów mnóstwo, a jastrzębi było tak wiele, że nikt nie pamięta, by ich kiedy tyle widział. Wchodzi już i u nas w zwyczaj, że obywatele płacą za zabite jastrzębie. Widzieliśmy 120 par nóg jastrzębich, które ubił jeden włościanin kłusownik. Tak mu się ten sport podobał, że zaniechał niszczenia zwierzyny, strzela jastrzębie, co mu pewny zysk przynosi, po 20 kop. za sztukę.

Bójka z jeleniem. Przed paru dniami, donoszą z Rzymu, przechadzał się markiz Nikola Berlingieri, w towarzystwie dwóch znajomych po zwierzyńcu swoim pod Corazello. Nagle na trzy osoby te z których żadna nie miała broni przy sobie, potężny napadł jeleń. Napadnięci bronili się jak mogli laskami, i udało im się zrazu rozwścieczone zwierzę odstraszyć. Zanim jednak zdołali opuścić zwierzyniec, jeleń zaatakował ich powtórnie z podwójną wściekłością. Wywiązała się straszliwa bójka, której ofiarą padł na miejscu, rogiem przeszyty, jeden z towarzyszów markiza, drugi w obronie życia własnego złamał rękę, markiz zaś otrzymał dwie ciężkie rany w udo. Na krzyk napadniętych nadbiegł nareszcie jeden ze strzelców, i ten dopiero strzałem spłoszył jelenia.

Cena psów modnych dochodzi czasem do znacznej wysokości. W Anglii są teraz modnymi duże rosyjskie charty, nie tyle do polowania lub do reprodukcyi, jak raczej do „reprezentacyi" w pokoju lub w powozie. Lord Wollesley zapłacił niedawno hrabiemu Nirodowi z Moskwy. 1.500 rs. za „Demona" dużego, białego psa tej rasy o długiej jedwabistej sierci.

Nemrodami pierwszej wody muszą być mieszkańcy eisfeldzkiego okręgu w Turyngii. „*Gazeta eisfeldzka*“ najzupełniej seryo wzywa zarząd miejski, aby w lasach tegoż okręgu urządzono stacyę ratunkową, w której „postrzeleni myśliwi mogliby korzystać z natychmiastowej pomocy lekarskiej“.

Ucieczka węża. Przed kilku dniami uciekł z nicejskiego zoologicznego ogrodu boa constrictor i mimo natychmiastowych poszukiwań we wszystkich kierunkach, nie został odszukanym. Dnia 8. z. m. włościanie z Saint Pons odkryli schronisko olbrzymiego węża, zabili go i z tryumfem zanieśli do Nizzy.

Na głuszca z wyżłem polują czasem w Pireneach. Polowanie takie, dość zresztą nie zachęcające, opisuje p. M. S. w „Sporcie“ francuskim.

W końcu sierpnia w r. z. przewodnik, nazwiskiem Péclose, zaproponował p. M. X., czyby nie chciał polować na wypatrzone przez niego głuszce, na wyżynie Araguouet, w ostatniej wiosce francuskiej na granicy hiszpańskiej. P. M. X. i brat jego udali się w drogę, w towarzystwie dwóch doświadczonych przewodników, a jeden z nich zabrał ze sobą swego syna, piętnastoletniego chłopca. Za małą karawaną postępował osioł, obładowany zapasami żywności, gdyż na tych wyżynach trudno zdobyć jakiekolwiek pożywienie, a przewodnik Péclose żyje rok cały zupą z cebuli i chlebem, z którym poradzić sobie mogą tylko zęby górala. Po całodziennej, męczącej podróży, myśliwi zatrzymali się na noc u Péclose'a.

Nazajutrz o 6-ej rano rozpoczęto polowanie; tropienie było trudne i uciążliwe, często przerywane wdzieraniem się na strome stoki gór. Chmury, przesuwające się w połowie wysokości góry, pod stopami myśliwych, zasłaniały im widok doliny; był to obraz wspaniały, lecz w polowaniu tło nic nie znaczy, zwierzyna jest wszystkiem, a tu do wpół do dwunastej cisza zupełna. ani śladu żyjącej istoty. Dotarto nakoniec do zbitej grupy sosen, położonej na samym szczycie góry, wśród gęstych, bujnych wrzosów; psy biegają. szukając tropu i w końcu znajdują go, ciemna masa zrywa się z hałasem, jakiegoby nie zrobiło dziesięć stad kuropatw i tyleż bażantów — ogromny kogut wzbił się w powietrze. Prawie równocześnie dały się słyszeć trzy strzały, olbrzymi ptak chwieje się lekko, kilka piór lata w powietrzu, wreszcie ptak puszcza się szybko w stronę doliny, zakreśla duże koło i spada ciężko na ziemię; irlandzki setter, Plok, biegnie i aportuje tę niezwykłą zwierzynę.

Tu następuje przerwa w polowaniu, podczas której myśliwi przypuszczają atak do zapasów przywiezionych na ośle, poczem reszta dnia upływa na mozolnem i bezowocnem tropieniu. Nad wieczorem brat p. X. znajduje samicę głuszca, strzela do niej lecz chybia.

Noc przepędzają myśliwi w lepiance, za posłanie służą im kamienie, a tradycyjna burza z przerażającemi grzmotami i błyskawicami uprzyjemnia im czas.

Nazajutrz o świcie pp. X. znów rozpoczynają polowanie na przeciwnym stoku góry, lecz po daremnym całodziennym trudzie, powracają wieczorem do chaty Péclose'a. i tejże samej nocy jeszcze wracają do domu.

Sally. Przed kilku tygodniami otrzymał paryski świat przyrodniczy od znakomitego zoologa angielskiego Romanes'a, telegram krótki i węzłowaty: „Sally nie żyje!“ — a wiadomość ta głęboko zasmuciła uczonych francuskich.

Więc Sally był czemś, skoro o śmierci jego telegrafowano z Londynu do Paryża, skoro nadto wieść o jego zgonie zdołała zasmucić przyrodników paryskich.

Tak, Sally był czemś, bo każdy jego krok od lat paru obserwowano starannie. każdy gest szpiegowano i komentowano żarliwie. Tylko, że to „coś“, acz znakomitość w swoim rodzaju, nie domyślało się nawet, że jest „czemś“. Nie domyślało się, ani napawało się dumą. Nie pisało nawet swych pamiętników, co jak na znakomitość, jest rzeczą wcale niezwykłą — a co gorsza, pomimo wielkich starań, przedsiębranych w tym kierunku, nie zdołało nigdy wypowiedzieć ani jednego słowa.

Bo Sally był niczem innem, jak małpą, małpą-szympansem, ale małpą najinteligentniejszą ze wszystkich, jakie dotychczas obserwowała nauka. Szympans ten mieszkał stale w ogrodzie zoologicznym w Londynie, ale był przedmiotem ciekawości uczonych tak w Berlinie, jak w Wiedniu, Paryżu i Brukseli.

Osobliwa ta małpa umiała naprzykład rachować do dwudziestu. Gdy Romanes zakomunikował tę wiadomość dyrektorowi paryskiego muzeum zoologicznego, ten ostatni poświęcił parę lat życia na wyuczenie tej samej sztuki jednego ze swych gorylów, które to zwierzę uważane było przez naturalistów paryskich za najinteligentniejsze pod słońcem. Okazało się jednak, iż inteligentny goryl z Paryża był niesłychanie tępym w porównaniu z szympansem z Londynu, nigdy bowiem nie mógł dojść do perfekcyi rachowania do dwudziestu.

Na zasadzie obserwacyj, czynionych nad Sallym, oraz porównawczych badań nad innymi rodzajami małp, doszedł świat naukowy do wniosku, iż najinteligentniejszem po człowieku zwierzęciem na ziemi jest szympans. Nie może się z nim mierzyć ani goryl, ani gibbon, ani orangutan. Żadna małpa pod słońcem nie umie tak okazywać swych sympatyj, antypatyj, nienawiści swej, ani gniewu, jak Sally. Tak naprzykład, zachorowała ciężko wierna towarzyszka jego doli więziennej, małpeczka Zucco. Sally dopóty robił w swej klatce awantury, dopóty tłukł naczynia i brzęczał łańcuchem, na którym był przywiązany, dopóki dozorcy nie otulili Zucco ciepłą kołdrą flanelową. Najpocieszniejsze zaś sceny bywały nocą. Gdy rozgorączkowanej Zucco zachciało się pić, Sally wrzeszczał tak przeraźliwie, iż po kilka razy w ciągu nocy budził dozorcę, który pospiesznie przynosił wodę do klatki, aby tylko zyskać spokój na parę godzin.

W ogóle inteligencya tego szympansa była zadziwiająca. Tak naprzykład przeglądał się w zwierciadle najzupełniej rozumnie, niejako zdając sobie sprawę, że widzi samego siebie, nie zaś małpę, stojącą po za powierzchnią szklanną. Gdy mu po raz pierwszy podano jajko, stłukł je i wylał większą część zawartości. Za drugim jednak razem był już ostrożniejszy: uważnie robił otwór maleńki w skorupie, wypijał żółtko, a odrzucał białko. Miał Sally niesłychane zdolności do złodziejstwa. Gdy ktoś, zagadany z dozorcą, zapomniał o obecności małpy, Sally plądrował po kieszeniach tak zręcznie, iż gość nie spostrzegł się nawet, gdy został okradziony doszczętnie. Wszystkie przedmioty skradzione chował Sally skrzętnie w słomie swego posłania, ale oddawał je bez gniewu na rozkaz swego dozorcy. O pewnej porze p. Romanes przynosił małpie dziennik. Małpa najpoważniej siadała, rozwijała zadrukowany arkusz i godzinami całymi udawała, że czyta. Niestety zdarzało się, iż godziny całe spędzał Sally przed dziennikiem, przewróconym do góry nogami.

P. Romanes przesłał paryskiej akademii nauk cały memoryał o inteligencyi małp, napisany na zasadzie obserwacyj poczynionych nad Sallym. *Revue Scientifique* poświęciła niezwykłej tej małpie cały numer, a zoologowie czynią specyalne badania nad jej mózgiem.

Sally zajmie poczesne miejsce w londyńskiem muzeum zoologicznem. Umiejętnie wypchany będzie nosił na piersiach po długie lata tablicę z napisem: „Sally, szympans najinteligentniejszy z obserwowanych dotychczas. Rachował do dwudziestu“.

Szanownych P. T. Delegatów gal. Towarzystwa łowieckiego i w ogóle wszystkich przyjaciół i czytelników „Łowca“, upraszamy o szczegółowe wiadomości z kniejowych polowań.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.